NR 23 (1896) 10 CZERWCA 2025

TYGODNIK Solidarność

Proj. Marek Sobczyk

To (już) nie jest kraj dla pracowników IT

- JUŻ NIE BĄŻUR, A OREWUAR
- NAUKOWCY PRZYSPIESZYLI KONIEC ŚWIATA

ISSN 0208-8045
9 770208 040450 23 INDEKS 379433
CENA 9,90 zł (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

eprasa.pl d85bf63bee

RAPORT

DRAPIEŻNY ZIELONY (NIE)ŁAD

już dostępny

TERAZ TAKŻE W JĘZYKU ANGIELSKIM!

Pierwsza tak kompleksowa analiza wpływu
polityki klimatycznej Unii Europejskiej
na polską gospodarkę
przygotowana na zlecenie NSZZ „Solidarność”
przez grono niezależnych i uznanych ekspertów.

Kup na

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

eprasa.pl d85bf63bee

Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Przez lata branża IT uchodziła za wzór nowoczesnego rynku pracy. Wysokie zarobki, elastyczne godziny pracy i atmosfera luzu były marzeniem tych, którzy na co dzień funkcjonowali w innych realiach. Jednak ten wizerunek coraz częściej bywa złudny. Za kolorowymi grafikami ofert pracy, stołami do ping-ponga, open space'ami z darmową kawą i owocowymi czwartkami kryją się: wypalenie zawodowe, niestabilność zatrudnienia i poczucie braku wpływu pracowników na warunki pracy. Dlatego dziś, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, branża IT potrzebuje silnych związków zawodowych.

Rzeczywistość wielu pracowników tej branży to długie godziny pracy i ogromna presja. Czasem także mobbing i inne nadużycia. Przede wszystkim jednak osamotnienie i poczucie, że nie ma się wpływu na swój los i kierunek rozwoju firmy.

Branża IT już zmieniła świat i nadal to robi. Ale żeby mogła go zmieniać na lepsze, musi najpierw zadbać o własne fundamenty, czyli o ludzi.

NA DOBRY POCZĄTEK **WASIUKIEWICZ**

Szczególnie dotyczy to młodych pracowników i osób, które są zatrudnione na umowach śmieciowych lub B2B. Ich sytuacja zawodowa coraz bardziej przypomina tę, która była losem wielu pracowników w czasie kryzysu lat 2007–2009. „To właśnie tutaj [w branży IT – przyp. M.O.] rozkwitają nowe formy wyzysku, a szeregowy pracownik coraz częściej czuje się jak na polu minowym" – zauważa Krzysztof Karnkowski.

Pandemia COVID-19 i spowolnienie gospodarcze w latach 2022–2024 brutalnie odsłoniły słabości sektora IT. Masowe zwolnienia w największych firmach technologicznych, często przeprowadzane z dnia na dzień bez konsultacji, pokazały, że każdy pracownik może zostać potraktowany jak niepotrzebny biurowy mebel.

W takich warunkach pracownicy najboleśniej przekonują się, jak bardzo potrzebna jest im reprezentacja. Ktoś, kto stanie za nimi i będzie ich bronił. Bo brak związków zawodowych oznacza brak mechanizmów obrony. Kiedy nie ma ich w miejscu pracy, ludzie są zdani wyłącznie na łaskę i niełaskę korporacyjnych zarządów.

Związki zawodowe nie oznaczają rewolucji ani blokowania rozwoju firmy. Oznaczają partnerstwo. Dają pracownikom możliwość współdecydowania o istotnych kwestiach – takich jak nadgodziny, forma zatrudnienia czy transparentność wynagrodzeń. Działając wspólnie, pracownicy mogą nie tylko chronić swoje prawa, ale też budować stabilną i etyczną kulturę pracy. Także w nowoczesnych sektorach rynku pracy.

„Pięć lat po zachodniej wiośnie związków zawodowych w branży IT również w Polsce coraz częściej pojawiają się głosy, że rodzimi specjaliści od nowych technologii powinni zacząć budować organizacje związkowe w swoich firmach" – pisze Paweł Pietkun.

Branża IT już zmieniła świat i nadal to robi. Ale żeby mogła go zmieniać na lepsze, musi najpierw zadbać o własne fundamenty, czyli o ludzi.

eprasa.pl d85bf63bee

10.06.2025
WYDANIE Nr
23

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Kryzys zawitał do branży IT

8 Eldorado, w którym straszy

12 Związek_zawodowy.exe

16 Związki zawodowe w branży IT są światowym trendem

KRAJ

Nawrocki, wygrani, przegrani 20
Już nie Bążur, a Orewuar 24
Koszmar lewicowej Europy 28
To się stanie, w co wierzymy 32

ZAGRANICA

Wola bez znaczenia 36

KULTURA

Nigdy nie chciałem zrobić z siebie pajaca. Rozmowa z O. Podolskim 40
Władysław Orkan. Głos wykluczonych przełomu XIX i XX wieku 44
Świat jest zawsze normalny. Rozmowa z W. Żwikiewiczem 48

RELIGIA

Odpoczynek w Bogu 54
Wiara stadionów. Rozmowa z ks. dr. hab. J. Wąsowiczem 58

ŚWIAT WOKÓŁ NAS

Naukowcy przyspieszyli koniec świata 62

ZWIĄZEK

Co w związku 66
Stawiamy na profesjonalizm. Rozmowa z M. Wątorskim 68

FELIETONY:

WOŚ 7
OKRASKA 27
SKWIECIŃSKI 31
GAC 47
KRYSZTOPA 61

POLECAMY:

KARUZELA Z BLOGERAMI 39
CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM 52
ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 57
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 65
PRAWO 72

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Wojciech Kwidziński

Członek Zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Andrzej Berezowski, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Krzysztof Karnkowski, Kacper Kita, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Ludwik Pęzioł, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Barbara Sadowska, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Monika Rutke, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki, tel. 510 075 689, e-mail: k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6, 80-864 Gdańsk
nr konta: SKOK im. Franciszka Stefczyka
52 7065 0002 0651 8267 6304 0001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl d85bf63bee

PODPISZ WNIOSEK

O REFERENDUM OGÓLNOKRAJOWE W SPRAWIE ZIELONEGO ŁADU

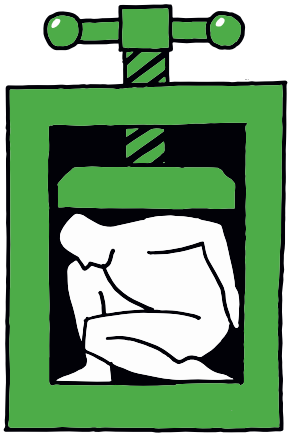

ZATRZYMAJ
ZIELONY ŁAD

PODPISZ, ZANIM ZRUJNUJĄ CI ŻYCIE

www.preczzzielonymladem.pl

NSZZ Solidarność

NSZZ RI Solidarność

eprasa.pl d85bf63bee

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu” i bieżącej polityki klimatycznej UE

zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan

za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie”

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
١	٢	٣	٤	٥

Wypełnioną kartę można wysłać na adres redakcji „Tygodnika Solidarność”: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa.

eprasa.pl d85bf63bee

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Rafał Woś

Programisto, załóż związek!

Masowe zwolnienia w branży IT trwają już trzeci rok z rzędu. To, co w 2023 roku miało być tylko „chwilową korektą", w '24 przeistoczyło się w stały trend. W połowie '25 nie widać żadnego przełamania ani „początku końca". Z najnowszych branżowych raportów wynika, że chęć zatrudnienia nowych pracowników oraz likwidacje miejsc pracy deklaruje dziś mniej więcej podobny odsetek firm. Sytuacja jest szczególnie trudna dla wchodzących na rynek „juniorów". Jeszcze kilka lat temu przebierali w ofertach. Dziś muszą walczyć o każdą możliwość zdobycia doświadczenia.

Dla branży IT i pracujących w niej specjalistów to jest zupełnie nowa bajka. Przez całe lata wydało się bowiem, że tu zawsze będzie świeciło słońce. Programiści czy projektanci stron zarabiali zdecydowanie powyżej przeciętnej, a popyt na ich usługi zdawał się niewyczerpany. W efekcie bardzo wielu pracowników tego sektora w ogóle nie uważało siebie za pracowników. Bolączki zwykłych śmiertelników z innych rewirów gospodarki zdawały się opowieściami z mchu i paproci. Ale to se ne vrati...

Pierwszą i najważniejszą przyczyną jest przemiana technologiczna związana z upowszechnieniem sztucznej inteligencji. Oczywiście automatyzacja zawsze napierała na rynek pracy, zagrażając tym pracownikom, których kompetencje można umaszynowić. Na poprzednich okrążeniach sztafety kapitalistycznych dziejów zwykle dotyczyło to jednak pracowników fizycznych. AI jest inna, bo automatyzuje zadania i procesy, które były dotąd sposobem zarabiania na życie dla dobrze sytuowanej klasy średniej – i to tej raczej bardziej zamożnej, jak właśnie informatycy.

Czy to oznacza, że przed branżą IT rysuje się ścieżka trwałej stagnacji? To zależy od tego, co się teraz wydarzy. Ostatnio wpadła mi w ręce ciekawa praca ekonomistki Florencji Jaccoud. Pokazała ona, że faktycznie najważniejszą konsekwencją wchodzenia technologii AI do powszechnego użytku jest zwiększenie nierówności prasowych w branży IT. Dzieje się tak właśnie dlatego, że algorytmy uczenia maszynowego pozwalają firmom zredukować zatrudnienie średniego szczebla pracowników. Zostają drodzy supereksperci oraz tania drobnica.

Jeżeli jednak spojrzymy na inne branże (przemysł i wytwórczość), w których automatyzacja postępuje już od dłuższego czasu, zobaczymy, że tam procesy robotyzacji przynoszą nie zwiększenie, a raczej... zmniejszenie nierówności płacowych. A więc proces dokładnie odwrotny. Dlaczego?

Tu do gry wchodzi temat związków zawodowych. Otóż tam, gdzie związki istnieją i mają się dobrze (czyli właśnie w przemyśle), jest na poziomie zakładu realna siła, która może upomnieć się o los średniego pracownika. Takie związki sprawiają, że pracodawca musi się podzielić przynajmniej częścią zysków związanych ze zwiększeniem produktywności, które robotyzacja przyniosła ze sobą. W nowych technologiach tego brak.

Gdyby więc związki przeszczepić do IT, to może wówczas dałoby się zatrzymać antypracowniczy armagedon, który się właśnie przez ten sektor przetacza. Aby to się wydarzyło, programiści i inni muszą w końcu zrozumieć, że oni także są pracownikami. I organizowanie w ruch pracowniczy bardzo im się opłaca.

Od teraz widać to już chyba jak na dłoni.

eprasa.pl d85bf63bee

Temat Tygodnia

ELDORADO, w którym straszy

Branża IT uchodziła dotąd za ziemię obiecaną – miejsce wysokich zarobków, swobody i prestiżu. Dziś jednak bardziej przypomina dom strachów niż krainę szczęśliwości. To właśnie tutaj rozkwitają **nowe formy wyzysku**, a szeregowy pracownik coraz częściej czuje się jak na polu minowym.

Ludwik Pęzioł

eprasa.pl d85bf63bee

Proj. K. Karnkowski

Jeszcze kilka lat temu samo wspomnienie o związkach zawodowych w IT wywołałoby salwę śmiechu albo podejrzenie o brak elementarnego rozeznania w realiach tej branży. Dziś sytuacja wygląda inaczej. Wiele się zmieniło – przede wszystkim zniknęło złudzenie, że dobrze płatna praca zawsze oznacza dobre traktowanie. Okazało się, że w IT także są równi i równiejsi, a wyzysk przybrał nowe, bardziej subtelne formy. Przyjrzyjmy się więc warunkom pracy w tej branży oczami samych pracowników.

Wyzysk moralny

Wielu pracodawców w IT otwarcie wyznaje liberalno-lewicowe wartości – i nie zostawia ich za drzwiami biura. Przeciwnie: promuje je aktywnie, nierzadko z pomocą dużych instytucji międzynarodowych, takich jak ONZ czy Unia Europejska. Przykład? Wskaźniki ESG (Environmental, Social, Governance), które firmy muszą uwzględniać, jeśli chcą zachować konkurencyjność i dostęp do finansowania. Kojarzone są z ochroną środowiska i walką z nierównościami, ale w praktyce oznaczają również promocję ideologii, które część pracowników odbiera jako sprzeczne z własnym systemem wartości. Warsztaty „antydyskryminacyjne", obowiązkowe szkolenia DEI (Diversity, Equity, Inclusion), „akcje afirmacyjne"... w dużych firmach IT tego typu inicjatywy nie są dodatkiem, lecz niepisanym obowiązkiem. Wszystko to pod płaszczykiem równości i moralnego biznesu; w praktyce oznacza jednak promocję stylu życia i światopoglądu, które dla wielu są kontrowersyjne, jeśli nie wprost sprzeczne z ich przekonaniami religijnymi czy etycznymi.

Najbardziej problematyczne nie jest jednak samo istnienie tych działań, ale przymus uczestnictwa. Nierzadko od pracownika oczekuje się nie tylko biernej obecności, ale wręcz aktywnego zaangażowania w inicjatywy, które stoją w sprzeczności z jego sumieniem. I nie mówimy tu o teoretycznych dylematach, ale o realnych konsekwencjach: kto się wychyli, ryzykuje łatkę „problematycznego", zablokowanie awansu, a w skrajnych przypadkach – po prostu utratę pracy. Warto przy tym pamiętać, że większość pracowników IT działa na zasadzie kontraktu B2B. Pracodawca nie musi więc tłumaczyć się z decyzji o zakończeniu współpracy – a to oznacza, że presja konformizmu jest silniejsza. Zwłaszcza gdy na karku ma się kredyt, a rynek pracy wcale nie jest tak łaskawy, jak głosi legenda.

DO LĘKU PRZED „NIEPRAWOMYŚLNOŚCIĄ" DOCHODZI DZIŚ W BRANŻY IT TAKŻE STRACH CZYSTO EKONOMICZNY.

Branżę IT od innych zawodów odróżnia nie tylko technologia, ale i wyjątkowa czujność wobec wszelkich przejawów „nieprawomyślności". W wielu firmach standardem staje się wykrywanie poglądowych odchyleń za pomocą zaawansowanych narzędzi – od monitorowania bieżącej aktywności w sieci po przeczesywanie cyfrowych śladów z przeszłości. Nic dziwnego, że pracownicy IT rzadko rozmawiają

eprasa.pl d85bf63bee

z mediami pod nazwiskiem. Powszechny jest lęk przed ujawnieniem sceptycznych wobec „woke" przekonań. Rzadko zakładają konta w mediach społecznościowych, jeszcze rzadziej lajkują treści niezgodne z dominującą narracją. To, co w innych branżach uchodzi za marginalne, tutaj może kosztować reputację, kontrakt, a w skrajnych przypadkach – karierę. Codzienna obecność w social mediach traktowana jest z niemal religijną powagą. Każdy ruch, komentarz czy brak „tęczowej" reakcji może przyciągnąć uwagę „Pawlika Morozowa z biurka obok" – czujnego współpracownika, który nigdy nie śpi. W takiej atmosferze ludzie nie tylko milkną. Uczą się także udawać, by nie wzbudzać podejrzeń. Z czasem prowadzi to do wypalenia, znieczulenia sumienia i utraty szacunku do samego siebie. Niektórzy odreagowują ten przymus konformizmu, skręcając gwałtownie w stronę radykalnych środowisk antymainstreamowej prawicy. Niekiedy tak radykalnych, że sprzeciw wobec „głównego nurtu" staje się dla nich wartością samą w sobie – niezależnie od tego, jak oderwane od rzeczywistości są głoszone przez nie tezy.

Rosnące napięcie wokół ograniczania wolności poglądów konserwatywnych i liberalno-konserwatywnych doprowadziło w Stanach Zjednoczonych do powstania swoistego „biznesowego ruchu oporu". Na jego czele stanęli m.in. Elon Musk i Tim Buckley, były prezes funduszu Vanguard. Z czasem liderem stał się Robby Starbuck – były producent klipów muzycznych, któremu konserwatywne poglądy zamknęły drogę do kariery w Hollywood. Ich aktywizm przeciwko przymusowej ideologizacji biznesu pokazał, że problem nie jest marginalny – a poczucie krzywdy sięga głęboko. Efekty zaczynają być widoczne.

– W kwestiach światopoglądowych zrobiła się lekka odwilż – mówi pracownik IT, prosząc o anonimowość. – Ale wciąż nie na tyle, bym mógł swobodnie pisać o swoich przekonaniach w internecie – dodaje po chwili.

Punktem zwrotnym okazała się nie wygrana Trumpa, ale wcześniejsze działania Elona Muska na przejętym Twitterze (dziś X). To właśnie tam udało mu się przełamać monopol lewicy obyczajowej w sferze cyfrowej – i znormalizować śmianie się z woke'u. Skutkiem było nie tylko przejście części progresywistów na platformę Bluesky, ale też psychologiczne przełamanie tabu. Coś, co jeszcze niedawno było nie do pomyślenia, dziś staje się możliwe – cicha krytyka radykałów z lewej strony nie wywołuje już automatycznego ostracyzmu. Jak widać, coś się ruszyło. Ale strach – przynajmniej na razie – pozostał.

TO, CO W INNYCH BRANŻACH UCHODZI ZA MARGINALNE, TUTAJ MOŻE KOSZTOWAĆ REPUTACJĘ, KONTRAKT, A W SKRAJNYCH PRZYPADKACH – KARIERĘ.

OD PRACOWNIKA OCZEKUJE SIĘ NIE TYLKO BIERNEJ OBECNOŚCI, ALE WRĘCZ AKTYWNEGO ZAANGAŻOWANIA W INICJATYWY, KTÓRE STOJĄ W SPRZECZNOŚCI Z JEGO SUMIENIEM.

Rezerwowa armia nerdów

Do wszechobecnego lęku przed „nieprawomyślnością" dochodzi dziś w branży IT także strach czysto ekonomiczny. Jeszcze niedawno informatyk mógł czuć się niemal jak pan rynku – wybierać z ofert, dyktować warunki, żyć na poziomie nieosiągalnym dla przedstawicieli innych zawodów. Dziś ten obraz traci realność. – Czasy, gdy programiści mogli stawiać warunki pracodawcom, już minęły – mówi bez entuzjazmu jeden z nich. Skończyła się era rynku pracownika. Przeminęła moda na to, by każda firma miała rozbudowany dział IT i własną aplikację – bo „inaczej nie będzie traktowana poważnie". Symbolem tego przełomu był precedens Elona Muska, który po przejęciu Twittera zwolnił około 80% załogi. Platforma jednak wciąż działała. Ten prosty fakt dał do myślenia wielu właścicielom firm: może nie potrzebujemy aż tylu ludzi? Zaczęły się cięcia. A z nimi – lęk. Powtarzane

eprasa.pl d85bf63bee

są anegdoty o byłych informatykach, którzy jeszcze niedawno zarabiali krocie, a dziś smażą frytki. Oczywiście dotyczy to głównie tych, których kompetencje są relatywnie łatwe do zastąpienia.

Jednak nawet bardziej zaawansowani specjaliści nie czują się bezpiecznie. Nad branżą zawisło widmo sztucznej inteligencji. Choć na razie nie doszło do masowych „czystek", panuje przekonanie, że kolejna generacja AI może już realnie zagrozić nawet części dobrze opłacanych stanowisk – mimo uspokajających analogii do wynalezienia samochodu czy pierwszych maszyn tkackich. Tu chodzi o coś więcej: o możliwość zastąpienia myślenia. Niepokój nie ogranicza się jednak tylko do ryzyka utraty pracy. Nawet ci, którzy zarabiają dobrze i mają unikalne kompetencje, często funkcjonują na granicy wypalenia. Rezygnują z życia prywatnego, zdrowia, odpoczynku – z wszystkiego, co zagraża deadline'owi. Anonimowy pracownik branży gier komputerowych przywołuje sytuację z późnego etapu projektu, gdy menedżerowie sugerowali, by... spać pod biurkiem. Dosłownie. Powrót do domu uznawano za stratę czasu. Wielu się na to godziło – bo przecież „tak dobrze płatna praca wymaga poświęceń".

Ten sposób myślenia zaczyna się jednak zmieniać. W Stanach Zjednoczonych powstają związki zawodowe w branży IT – zjawisko jeszcze kilka lat temu niemal nie do pomyślenia. Powodem są rosnące frustracje: niepewność zatrudnienia, nadgodziny, brak przejrzystości wynagrodzeń, nieetyczne praktyki pracodawców. W Polsce ten trend jest jeszcze niewidoczny – wciąż dominuje przekonanie, że „elastyczność pracy i zatrudnienia" są naturalną częścią IT. Ale to może się zmienić, jeśli impuls przyjdzie z Zachodu. Jednym z przykładów jest organizacja Game Workers Unite, działająca w ramach Independent Workers Union of Great Britain, obecna również w USA. Walczy z takimi problemami jak crunch (czyli ekstremalne nadgodziny) czy niepewne kontrakty. Jej działalność budzi oczywisty niepokój gigantów branży, które stosują wobec pracowników o związkowych aspiracjach rozmaite środki „profilaktyczne" – od kampanii PR po zwolnienia. Do tego dochodzą bardziej subtelne techniki rozmywania granicy między życiem prywatnym a zawodowym. Wprowadzane są „grywalizacje", konkursy, systemy punktowe – wszystko, co utrwala zależność pracownika od korporacyjnej „kultury" i osłabia jego zdolność do stawiania granic. Jak widać – batalia trwa.

ZANIM PRACOWNICY IT ZACZNĄ WALCZYĆ O SWOJE PRAWA, BĘDĄ MUSIELI POKONAĆ BARIERĘ NIEUFNOŚCI WOBEC WSZELKIEJ FORMY WSPÓLNOTOWEGO DZIAŁANIA.

Co robić?

Perspektywy uzwiązkowienia branży IT są dziś w Polsce realniejsze niż jeszcze kilka lat temu. Po pierwsze, oznaki backlashu wobec progresywnej agendy kulturowej przełamały poczucie niemocy i bierności, które przez lata dominowało w tym środowisku. Po drugie, miejsce euforycznego przekonania, że „złapano wirtualnego boga za nogi", coraz częściej zajmuje zwykła, egzystencjalna niepewność – o pracę, przyszłość, godność. Tym, czego jednak wyraźnie brakuje, jest rodzaj łącznika między dawną, polską tradycją związkową a nowym pokoleniem pracowników umysłowych, które wciąż myśli o swojej pracy raczej w kategoriach wolności i samorealizacji niż ochrony praw. W ich świadomości wciąż pokutują hasła w stylu „Sky is the limit", a wszelkie rozmowy o związkach zawodowych zbyt często są automatycznie kojarzone z „lewactwem", od którego trzeba uciekać.

PERSPEKTYWY UZWIĄZKOWIENIA BRANŻY IT SĄ DZIŚ W POLSCE REALNIEJSZE NIŻ JESZCZE KILKA LAT TEMU.

Paradoksalnie więc najbardziej narażeni na nadużycia są ci, którzy myślą o sobie jako o zwycięzcach wolnego rynku – ale nie mają narzędzi, by się na nim bronić. Zanim zaczną walczyć o swoje prawa, będą musieli najpierw pokonać coś trudniejszego niż opór pracodawców: własne stereotypy, liberalne złudzenia i międzypokoleniową barierę nieufności wobec wszelkiej formy wspólnotowego działania.

eprasa.pl d85bf63bee

Związek_zawodowy.exe

Każdy z nas słyszał o wysokich zarobkach programistów i innych speców z branży IT, o ich luźnych warunkach pracy, wygodzie i **braku stresu** związanego z potencjalną utratą pracy. To raczej rekruterzy szukają ich, a nie na odwrót. Wydawać by się mogło, że tacy ludzie nawet nie pomyślą o założeniu związku zawodowego. Nic bardziej mylnego.

Konrad Wernicki

W grze komputerowej „Cyberpunk 2077" wyprodukowanej przez polskie studio CD PROJEKT RED jednym z głównych wątków fabularnych jest podłożenie bomby pod wieżowiec międzynarodowej korporacji „Arasaka". Jest to wyraz radykalnego buntu głównego bohatera wobec dystopijnego systemu panującego w świecie przyszłości — systemu opartego na kontroli, wyzysku i nierównościach, napędzanych przez nowe technologie, które w teorii miały uczynić życie łatwiejszym, a nie jeszcze bardziej brutalnym.

Metaforycznie można to porównać do wyłomu w systemie, którego w rzeczywistości dokonali... sami pracownicy CD PROJEKT RED, zakładając w firmie swój związek zawodowy. Ten nie był jednak bombą, tylko chipem usprawniającym działanie firmy, a przede wszystkim dbającym o dobrostan pracowników. Co ciekawe, musieli zadbać o swoje prawa w branży, która uchodzi za najlepszą emanację rynku pracownika, wysokich zarobków i komfortowych warunków pracy. Jak widać, nawet najlepiej opłacani programiści odczuli potrzebę zrzeszenia się w organizacji pracowniczej. Co ich do tego skłoniło?

System_error

Branża IT cieszy się świetną reputacją w świecie pracy. To legendarne wysokie zarobki programistów, elastyczne warunki pracy, wciąż nienasycony popyt na nowych specjalistów (backendowców, DevOpsów, speców od AI), ciągle stymulowany rozwój zawodowy, a także prestiż związany z udziałem w międzynarodowych, znanych projektach. Na pierwszy rzut oka to raj bez skazy. Jeśli masz kompetencje i znasz się na swojej robocie, którą wykonujesz wygodnie zza biurka, często z własnego domu, to praktycznie masz gwarancję bardzo wysokich zarobków. Nawet bez doświadczenia, ale z odpowiednimi umiejętnościami można relatywnie szybko znaleźć pracę (choć to powoli się zmienia) i piąć się coraz wyżej w branży albo poprzestać na tym, co się ma. Z głodu się raczej nie umrze. O płacy minimalnej w takich miejscach tylko się słyszało, ale nigdy nie widziało na własne oczy. Pracowników IT niespecjalnie ruszają rosnące ceny pieczywa czy masła, za to już odnotowują kuriozalne koszty biletów na koncerty ulubionych kapel. Metallica za blisko 1400 zł? Chore, no ale trudno, przecież nie będą się ograniczać.

> PROGRAMIŚCI W NAJGORĘTSZYM OKRESIE PRACOWALI PO KILKANAŚCIE GODZIN NA DOBĘ. ZDARZAŁY SIĘ PRZYPADKI NOCOWANIA W BIURZE, WPROWADZONO 6-DNIOWY TYDZIEŃ PRACY.

Jednak za tą grubą ścianą dobrobytu kryje się pogniłe dno, zżerające wielu świetnie zarabiających pracowników od środka. Praca przy wielkich, często globalnych projektach to prestiż, a także idąca za tym presja, deadline'y, nadgodziny i tzw.

eprasa.pl d85bf63bee

Keanu Reeves użyczył swojego wizerunku jednej z głównych postaci cyfrowej historii „Cyberpunk 2077”

crunche, czyli intensywne okresy pracy, często związane z nadgodzinami, które mają na celu jak najszybsze zakończenie projektu lub nadrobienie zaległości. Termin ten szersza opinia publiczna poznała właśnie przy okazji premiery „Cyberpunka”. W tamtym okresie REDZI (kolokwialna nazwa studia CD PROJEKT RED) byli na szczycie światowego gamedevu (skrót od „Game Development” – tworzenie gier komputerowych i wideo). Po rewelacyjnym „Wiedźminie”, którego pokochał cały świat (przez długi czas był najlepiej ocenianym tytułem w historii gier komputerowych), jego autorzy zapowiedzieli grę, która miała go prześcignąć pod każdym względem.

Przy pracy nad Cyberpunkiem zatrudniono nawet Keanu Reevesa, hollywoodzkiego aktora uwielbianego przez geeków (pasjonatów świata technologii i s.f./fantasy), by ten użyczył swojego głosu i wizerunku jednej z głównych postaci cyfrowej historii. Marketing polskiego studia szalał, wydając miliony na pompowanie balona oczekiwań graczy na całym świecie. Ktoś je musiał spełnić i „dowieźć” produkt spełniający marzenia nie tylko użytkowników, ale też akcjonariuszy firmy. To wszystko spadło na barki programistów, którzy w najgorętszym okresie pracowali po kilkanaście godzin na dobę. Zdarzały się przypadki nocowania w biurze, wprowadzono 6-dniowy tydzień pracy, byle zdążyć z premierą gry, którą... przełożono. I to dwukrotnie. Presja rosła, a to tylko potęgowało wycieńczające warunki pracy.

Sytuacja niezwykle toksyczna, bo zapewne większość pracowników branży gier komputerowych dosłownie marzyła, by pracować przy tak głośnym i wielkim tytule. Ci, którym się udało, poświęcali własne życie i zdrowie, a ich entuzjazm skrzętnie wykorzystywano, co prowadziło do tłumionej frustracji i wypalenia, już nawet nie tylko zawodowego, ale też życiowego. Poświęcając całą energię na pracę, ci ludzie nie mieli już sił na swoje życie. To zmieniło się w cyfrową próżnię. Moment otrzeźwienia nastąpił już po całej kampanii produkcyjnej „Cyberpunka”, po którym przyszła fala zwolnień w 2023 r. obejmująca 9% załogi, czyli około 100 osób. W walce o stabilność zatrudnienia i ochronę swoich praw pracowniczych zdecydowano się założyć Komisję Zakładową w CD Projekt S.A., która dała życie Związkowi Pracowników Branży Gier, który dziś chce przyciągać pracowników z całej branży.

System_repair

Przykład CD PROJEKTU jak w soczewce skupia blaski i cienie branży IT oraz udowadnia, że

eprasa.pl d85bf63bee

organizacje pracownicze są tam jak najbardziej potrzebne. W świecie pełnym pieniędzy, technologii, pędu za wynikami i projektami związki zawodowe przywracają normalność i stawiają człowieka na pierwszym miejscu. Sprawiają, że praca może być nie tylko intratna, ale też sprawiedliwa. Okazuje się, że pracownikom do szczęścia nie są potrzebne jedynie pieniądze, ale również czas dla siebie i chęć bycia traktowanym podmiotowo, a nie przedmiotowo niczym program komputerowy, do którego wprowadza się kolejne zadania do wykonania.

Pieniądze zaspokajają podstawowe potrzeby człowieka, jak jedzenie, dach nad głową i bieżąca konsumpcja. Bez nich ani rusz, natomiast niezależna od nich jest potrzeba przynależności, uznania i szacunku. To właśnie dają związki zawodowe. Tego się nie kupi. Jeśli miejsce pracy sprowadza cię do roli wyrobnika, a cała branża jest tym przesiąknięta i masz niewielkie szanse na poprawienie swojego „ludzkiego" statusu, to związki zawodowe są tą instytucją, która może poprawić Twój dobrostan psychiczny w świecie zawodowym.

To nie przypadek, że kwestie zdrowia psychicznego są coraz częściej podnoszone przez millenialsów i pokolenie Z, które cierpi właśnie ze względu na bezduszne warunki pracy technologicznych korporacji. Ciągła praca przy monitorze, ślęczenie nad kodami programistycznymi, aplikacjami, analizami, widywanie kolegów z pracy głównie przez Zooma czy Teamsy, zamiast na żywo, spożywanie przetworzonego jedzenia w pędzie zamiast normalnego obiadu „jak u mamy", deadline'y, asapy, kejpiaje i inne bulszity. Ludziom to się ulewa, przeciąża ich procesor, tzn. mózg, i coraz częściej tacy pracownicy szukają schronienia: przed komputerami, telefonami, internetem, czyli elementami dociskającej ich na co dzień pracowniczej rzeczywistości. Powszechnie funkcjonujące sformułowanie „Rzucić wszystko i pojechać w Bieszczady" to motto wszystkich przebodźcowanych pracowników dużych korporacji. Renesans przeżywają swojskie agrowczasy, podczas których miastowi mogą nieco poobcować z wiejską rzeczywistością. Na popularności zyskują takie doświadczenia jak bushcraft, czyli nocowanie w lesie bez dachu nad głową, by być bliżej natury. Ci bardziej wybredni wybierają glamping, czyli kemping w warunkach premium, z wygodnym łóżkiem, ogrzewaniem i wystrojem w stylu boho. Form jest wiele, ale wszystkie sprowadzają się do jednego: uciec z biura, uciec z miasta, zostawić telefon, komputer, zaznać ciszy i spokoju.

Oddechem dla takich pracowników może być właśnie przynależność do związku zawodowego – organizacji z krwi i kości, która daje poczucie wpływu na otaczającą rzeczywistość. Właśnie tego brakowało pracownikom ING Hubs Poland, którzy postanowili zrzeszyć się w ramach NSZZ „Solidarność" w kwietniu tego roku.

W ŚWIECIE PEŁNYM PIENIĘDZY, TECHNOLOGII, PĘDU ZA WYNIKAMI I PROJEKTAMI ZWIĄZKI ZAWODOWE PRZYWRACAJĄ NORMALNOŚĆ I STAWIAJĄ CZŁOWIEKA NA PIERWSZYM MIEJSCU.

KWESTIE ZDROWIA PSYCHICZNEGO SĄ CORAZ CZĘŚCIEJ PODNOSZONE PRZEZ MILLENIALSÓW I POKOLENIE Z, KTÓRE CIERPI ZE WZGLĘDU NA BEZDUSZNE WARUNKI PRACY TECHNOLOGICZNYCH KORPORACJI.

Trade_union_loading

– To były trzy miesiące rozmów z pracownikami. Od części słyszałem wprost, że jest chęć założenia związków zawodowych, o czym mówiło się od trzech, czterech lat. Pytałem, jakie problemy w ramach firmy chcieliby rozwiązać. To nie były tematy stricte płacowe, raczej chodziło o transparentność działania firmy, pokazanie przez pracodawcę

eprasa.pl d85bf63bee

jasnych ścieżek awansu, podwyżek, dostępu do budżetów szkoleniowych, wyjaśniania, z czego wynikają podwyżki jednego działu, a drugiego nie – mówi Jarosław Rzepski, przewodniczący zakładowej Solidarności w ING Hubs, które jest globalnym centrum kompetencyjnym ING w zakresie usług IT. Przy wszystkich wcześniej wymienionych zaletach związków zawodowych i ich roli społecznej, integracyjnej, najważniejsza wciąż pozostaje twarda działalność operacyjna. Związek zawodowy to narzędzie w rękach pracowników do skuteczniejszej komunikacji z pracodawcą, wzmacniania i formalizowania swoich postulatów. Twarde negocjacje, a nie tylko prośby. Założenie organizacji pracowniczej to otrzepanie się z naiwnej wiary, że pracodawca zawsze nas wysłucha i spełni nasze oczekiwania bez żadnych nacisków czy presji.

W podjęciu decyzji o założeniu w ING Hubs związków zawodowych pomógł swoimi działaniami sam pracodawca. – Doszło do sytuacji, która mocno zastanowiła wielu ludzi. Na początku tego roku została ogłoszona spora redukcja, o około 400 osób. Nie przeprowadzono tego w formie zwolnień grupowych, tylko zaproponowano program odejść dobrowolnych. Wiem od pracowników, jak te rozmowy wyglądały. Była wywierana na nich presja, postawiono im warunki, których złamanie mogło skutkować odebraniem odprawy. Manipulowano nimi, że jeśli teraz nie podpiszą wypowiedzenia, to za chwilę w ogóle nie będą mogli skorzystać z dobrowolnego odejścia. Nie tak powinno się załatwiać takie sprawy – mówi przewodniczący. A jak sam ocenia warunki pracy w branży informatycznej od kuchni?

– Mimo że jesteśmy w tej mitycznej IT, to jesteśmy traktowani jako zasób. Nas się nie pyta o zdanie, tylko mówi się nam, co mamy zrobić. Nie ma w ogóle przestrzeni na to, by przekazać swoje uwagi, że coś może być bez sensu. Mówi się, że w IT jest eldorado, ale mam trochę kolegów w branży i wiem, że spotykamy się tu ze specyficznymi problemami, nie zawsze widzianymi na zewnątrz. Wypalenie zawodowe, depresja – u nas jest tego naprawdę dużo. Tutaj człowiek rzadko ma poczucie pracy zrobionej i skończonej. Może się to wydawać śmieszne, ale nasze mózgi tego potrzebują – dopaminy po wykonanych zadaniach i pewnego poczucia satysfakcji z pracy. Na przykład jeśli ktoś pracuje w sklepie i wykłada towar na półki, to gdy go wyłoży, wie, że skończył ten fragment swojej pracy. W IT ciągle są dodawane nowe rzeczy, jest ciągła konieczność zdobywania wiedzy i ciągłe wrażenie, że świat i technologia biegną do przodu, a my zawsze jesteśmy z tyłu. Często nie ma się poczucia wykonania danej czynności, bo realizuje się zadania na ekranie komputera. To wszystko długoterminowo powoduje wypalenie zawodowe, problemy z motywacją oraz negatywny wpływ na psychikę pracowników. To obciążenie, o którym powinno się mówić głośno – puentuje Jarosław Rzepski.

SOLIDARNOŚĆ ZE SWOJĄ HISTORIĄ BUNTU LUDZI PRACY WOBEC SYSTEMU MA WIELKI POTENCJAŁ, BY ZACHĘCIĆ DO SIEBIE SPECJALISTÓW OD NOWYCH TECHNOLOGII.

Solidarity_status_active

W świecie robotów ludzie sami nie chcą stać się robotami, tylko pozostać żywi, prawdziwi. Solidarność ze swoją historią buntu ludzi pracy wobec systemu ma wielki potencjał, by zachęcić do siebie programistów, informatyków i wszelkich innych speców od nowych technologii, których starsi związkowcy nazwaliby pewnie „komputerowcami". Związek zawodowy powinien umieć korzystać z nowych narzędzi i nie zostawać w tyle w scyfryzowanym świecie, ale jednocześnie pozostać sobą, stawiać ludzi na pierwszym miejscu. I tu pojawia się Solidarność z krwi i kości, a nie z krzemu i pikseli.

ZWIĄZEK ZAWODOWY POWINIEN UMIEĆ KORZYSTAĆ Z NOWYCH NARZĘDZI I NIE ZOSTAWAĆ W TYLE W SCYFRYZOWANYM ŚWIECIE.

eprasa.pl d85bf63bee

Związki zawodowe w IT są światowym trendem

Pięć lat po zachodniej wiośnie związków zawodowych w branży IT również w Polsce coraz częściej pojawiają się głosy, że rodzimi specjaliści od nowych technologii powinni zacząć budować organizacje związkowe w swoich firmach. Najwięksi gracze w tej dziedzinie są przygotowani do tego, aby **zdusić w zalążku** plany coraz bardziej świadomej swoich praw grupy zawodowej. W jaki sposób? To przede wszystkim zatrudnianie na umowy śmieciowe i kontrakty B2B, czyli właśnie to, z czym nadwiślańscy informatycy chcą walczyć. I wygrają, o czym świadczy triumfalny pochód organizacji związkowych w tej grupie na całym świecie.

Paweł Pietkun

Początki związków zawodowych w światowej branży IT nie były łatwe. Powód był oczywisty – to mit, który narósł w czasach świetności Doliny Krzemowej w Kalifornii i który dotyczył gigantycznych zarobków ludzi związanych z komputerami.

Mity branży IT

Zarobki w IT były oczywiście większe niż w innych amerykańskich branżach – jednak tylko nieco, a legendarne bogactwo brało się stąd, że w latach 80. i 90. XX wieku jak grzyby po deszczu powstawały kolejne firmy technologiczne. Firmy, co trzeba zauważyć, zakładane przez informatyków niezadowolonych ze swoich dotychczasowych zarobków i niewłaściwego traktowania w poprzednim miejscu pracy.

Prawdziwy sukces osiągnęło ledwo kilkudziesięciu fascynatów IT z branży, ale tyle wystarczyło, żeby społeczeństwo amerykańskie, a później cały świat, uwierzyło, że to właśnie w tym zawodzie można zarobić najwięcej.

Oczywiście zdarzali się tacy, którzy w jednej firmie osiągali zdumiewające bogactwo – przypłacali je jednak sporymi wyrzeczeniami, prowadzącymi do chorób psychicznych konfliktami wewnętrznymi oraz uzależnieniem od pracodawcy kończącym się nierzadko niemal niewolnictwem. Choć pojawiały się próby zakładania takich związków, opinia publiczna uważała, że świat nowych technologii jest zbyt nowoczesny na takie staromodne rozwiązania. Firmy zaś skutecznie dusiły w zarodku jakiekolwiek próby powstania organizacji związkowych, co bardziej

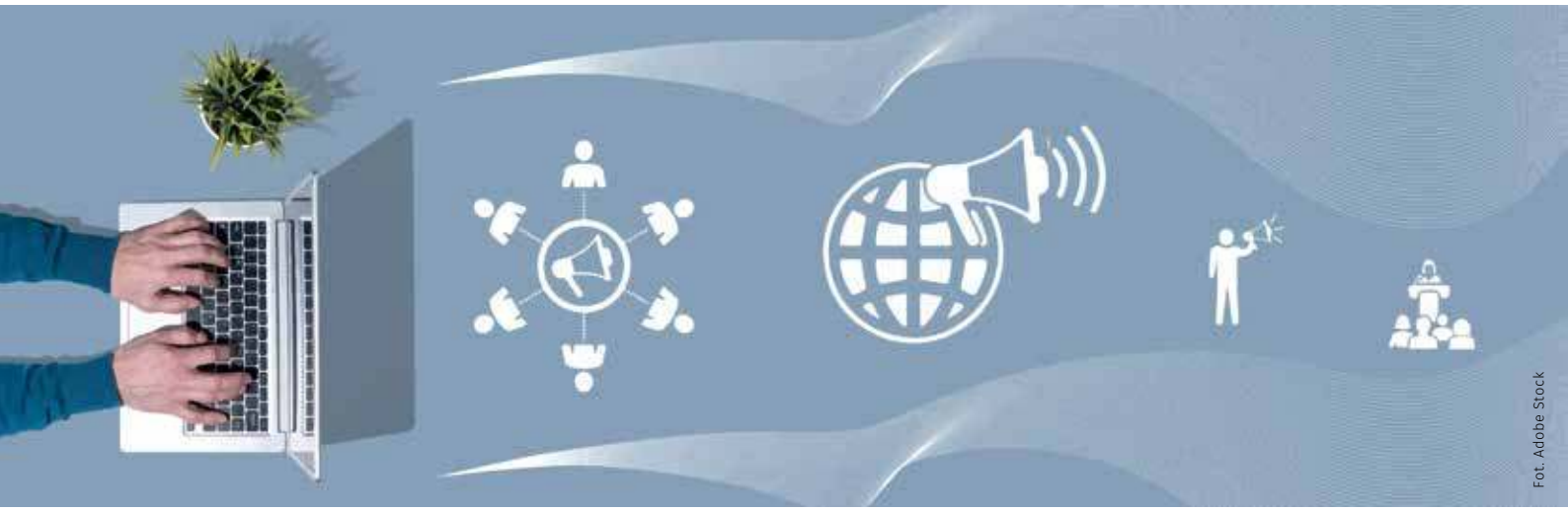

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl d85bf63bee

niepokornych i świadomych swoich praw pracowniczych natychmiast zwalniając i dając im wilczy bilet, który skutecznie zamykał im drzwi do dalszej kariery. Zmianę w branży miało przynieść dopiero nowe stulecie, szczególnie końcówka drugiej dekady tego wieku, która stała się prawdziwym festiwalem nowo powstających związków zawodowych w świecie nowoczesnych technologii. Z czasem okazało się, że właśnie tu związki były potrzebne, jak w mało której branży. Stały się bowiem jedynymi organizacjami społecznymi broniącymi praw ludzi, nadążającymi za zmianami niesionymi przez nowe technologie.

Związkowa Ameryka

Choć to nie Stany Zjednoczone stały się kolebką związków zawodowych w branży IT, to właśnie tu bije dzisiaj światowe serce organizacji związkowych, które powstawały – nie bez trudności – w największych i najbardziej znanych firmach technologicznych świata. Tu również zaczął się pierwszy bunt przeciwko nieuczciwym formom zatrudnienia i niesprawiedliwym praktykom kierowanym przeciwko pracownikom niższego szczebla, stawiającym dopiero pierwsze kroki w karierze IT.

Kiedy w 2020 roku – w najgorętszym okresie pandemii COVID-19 – w nowojorskiej siedzibie serwisu Kickstarter.com powstawał pierwszy związek zawodowy branży nowych technologii, firma była już jednym z najbardziej liczących się big techów świata. Znana przede wszystkim ze swojej strony internetowej firma zajmowała się wyłącznie crowdfundingiem, czyli finansowaniem społecznościowym. To forma pozyskiwania kapitału na realizację różnego rodzaju projektów, przedsięwzięć lub celów, która polega na zbieraniu niewielkich wpłat od dużej liczby osób, zazwyczaj za pośrednictwem platform internetowych. Zamiast polegać na tradycyjnych źródłach finansowania, takich jak banki czy inwestorzy instytucjonalni, twórcy projektu zwracają się bezpośrednio do szerokiej publiczności. Dzisiaj takie serwisy zbiórkowe są popularne w każdym kraju i sięgają po nie niemal wszyscy, którzy chcą zrealizować swoje marzenie – wszystko jedno, czy chodzi o rozwinięcie biznesu, czy sfinansowanie wakacji, czasem także kampanii wyborczej. Jednak dekadę temu była to prawdziwa nowość.

Wielka bitwa o Google

Kickstarter niemal natychmiast zdobył popularność i pieniądze, angażując się – bez własnej odpowiedzialności – również w projekty, które były moralnie wątpliwe. I to właśnie te wątpliwości – wcale nie zarobki – stały się podstawą zbudowania związku zawodowego w big techu. Domagali się większego wpływu na to, nad czym pracują, oraz tego, żeby ich opinie były przez zarząd brane pod uwagę podczas podejmowania decyzji biznesowych.

Jednak to nie oni trafili na pierwsze strony gazet i światowych serwisów informacyjnych.

W odległej Kalifornii od lat toczyła się batalia o to, żeby założyć związek zawodowy w samym sercu światowego internetu. Koncern Google przez lata blokował jakiekolwiek próby założenia związku, wynajmując do współpracy firmę IRI Consultants specjalizującą się w działaniach antyzwiązkowych. Każda próba stworzenia związku zawodowego kończyła się tak samo – pomysłodawcy i aktywiści organizujący co jakiś czas protest przed siedzibą Google'a lądowali na bruku – zwykle zwalniani dyscyplinarnie za „złamanie procedur bezpieczeństwa". Dla amerykańskich sądów takie tłumaczenie wystarczało – firma Google była legendą, podobnie jak związane z internetem i danymi osobowymi procedury, których sędziowie nie do końca rozumieli. Tu również nie pieniądze były na pierwszym miejscu listy żądań przyszłych związkowców.

W przypadku koncernu z siedzibą w Mountain View poszło o molestowanie seksualne w miejscu pracy i brak możliwości bezpiecznego zgłoszenia takiego faktu przełożonym. Przed koncernem zaczęli gromadzić się protestujący pracownicy – największy protest, w 2018 roku, pod hasłem „Google Walkout for Change" zgromadził ponad 20 tysięcy osób przed wszystkimi budynkami Google'a na świecie. Kolejnym punktem zapalnym stało się zwolnienie

PRAWDZIWY SUKCES OSIĄGNĘŁO LEDWO KILKUDZIESIĘCIU FASCYNATÓW IT Z BRANŻY, ALE TYLE WYSTARCZYŁO, ŻEBY SPOŁECZEŃSTWO AMERYKAŃSKIE, A PÓŹNIEJ CAŁY ŚWIAT, UWIERZYŁO, ŻE TO WŁAŚNIE W TYM ZAWODZIE MOŻNA ZAROBIĆ NAJWIĘCEJ.

eprasa.pl d85bf63bee

Timnit Gebru, wpływowej i lubianej analityczki angażującej się w walkę o prawa kobiet i Afroamerykanów – zwolniono ją, a jakże, za zakładanie związku zawodowego. Rok później świat obiegła wiadomość o powstaniu w koncernie związku – 200 pracowników poinformowało zarząd o założeniu Alphabet Workers Union. Dzisiaj liczba członków dochodzi do kilku tysięcy osób.

Walcząc o zasady

Wśród nich są działacze, którzy pomagali zakładać związki w kolejnych big techach, również dość egzotycznej organizacji związkowej zrzeszającej... testerów gier komputerowych studia Raven Software, należącego do świetnie znanego miłośnikom gier giganta Activision Blizzard.

Młodym założycielom Game Workers Alliance – dzisiaj to związek obecny w większości firm z amerykańskiej branży e-sportu – również nie chodziło o pieniądze. Na pierwszych miejscach postulatów związkowych znalazły się walka z dyskryminacją, mobbingiem i molestowaniem. Batalia o istnienie związku w Activision Blizzard, za zgodą sądu, skończyła się referendum, które miało być decydujące w sprawie jego rejestracji. Podobne opory napotykały wszystkie związki zawodowe w branży IT – również te, które powstawały u boku związków zawodowych pracowników fizycznych Amazona.

Sukces w tworzeniu związków zawodowych w firmach z Doliny Krzemowej zaskoczył amerykańskich socjologów i analityków biznesu, którzy zauważyli, że dolina opierała się na założeniu, że dopóki firmy dobrze wynagradzają pracowników i stawiają na coś więcej niż zysk, pracownicy będą szczęśliwi. Ten model działał przez jakiś czas, dopóki firmy nie zaczęły popełniać etycznych i moralnych błędów, które wpłynęły na warunki pracy. Krótko mówiąc, spółki technologiczne rekrutowały ludzi, dając im obietnicę pracy w innym rodzaju firmy. Takim, gdzie wszystko jest transparentne i realizuje się misję czynienia świata lepszym. Teraz pracownicy domagają się, aby ich pracodawcy dotrzymywali obietnic, które złożyli.

Związkowa cyber-Europa

Związki w branży IT, zakładane z nie mniejszą trudnością niż w USA, z powodzeniem działają dzisiaj niemal w całej Europie. Brytyjska centrala Unite the union, która wraz z poprzednikiem Graphical, Paper and Media Union reprezentują pracowników sektora informatycznego i technologicznego, podpisała szereg układów zbiorowych z firmami technologicznymi, takimi jak Fujitsu, DXC i Daisy Group. Niezależnie od tego pięć lat temu członkowie londyńskiego oddziału Tech Workers Coalition uruchomili pierwszą dedykowaną gałąź związku zawodowego dla pracowników branży technologicznej.

Oddział United Tech and Allied Workers działa w ramach Communication Workers Union. W 2021 roku związek Prospect uruchomił nową sekcję technologiczną, którą opisał jako „nowy dom pracowników branży technologicznej w ramach związku" i która odegrała rolę w kwestionowaniu niewłaściwego traktowania pracowników w Twitterze po przejęciu przez Elona Muska.

We Francji związek pracowników sektora IT nawiązał nawet do polskiej Solidarności, przyjmując nazwę Solidaires Informatique (Solidarność Informatyków). To związek zawodowy zrzeszający pracowników branży gier, który w 2021 roku wniósł głośny – i skuteczny – pozew przeciwko deweloperowi gier Ubisoft.

Pracownicy sektora high-tech w Niemczech mają niższą gęstość związków zawodowych niż inni pracownicy w tym kraju i rzadziej biorą udział w negocjacjach zbiorowych. Często za to zrzeszają się w alternatywnych organizacjach, czasami w bezpośredniej konkurencji ze związkami zawodowymi.

W IBM Germany dwa największe w Niemczech związki zawodowe utworzyły wspólną komisję zbiorowych negocjacji w celu rozwiązania wewnętrznej konkurencji związkowej. Podobnie oba związki reprezentują pracowników SAP i tworzą rady zakładowe w berlińskich siedzibach firm technologicznych i internetowych TikTok, Tesla, Gorillas, i Zalando.

Rumunia, Czechy, Szwajcaria...

Związki zawodowe branży IT najdłużej w Europie działają w... Rumunii, gdzie istniejący od 2009 roku Sindicatul IT Timișoara reprezentuje interesy

KIEDY W 2020 ROKU W NOWOJORSKIEJ SIEDZIBIE KICKSTARTER POWSTAWAŁ PIERWSZY ZWIĄZEK ZAWODOWY BRANŻY NOWYCH TECHNOLOGII, FIRMA BYŁA JEDNYM Z NAJBARDZIEJ LICZĄCYCH SIĘ BIG TECHÓW ŚWIATA.

eprasa.pl d85bf63bee

3000 pracowników IT i outsourcingu w Alcatel-Lucent, Wipro, Accenture i Alto. W 2015 roku serbska organizacja związkowa The Association of Internet Workers zrzesza pracowników platform internetowych w tym kraju.

Kilka lat temu szwedzkie związki zawodowe Unionen i Saco podpisały układ zbiorowy pracy z twórcą gier strategicznych Paradox Interactive, który obejmuje wszystkich 200 pracowników Paradox w Szwecji.

Swój związek zawodowy pracowników branży IT mają również Czesi – to ICT Odbory, który powstał latem 2021 roku. Prowadzi kampanie publiczne z Expedia i Red Hat Czech. Jest powiązany z OSPPP, czyli Związkiem Zawodowym Pracowników Pieniężnych i Ubezpieczeniowych, należącym do federacji związków zawodowych ČMKOS.

W Szwajcarii pracownicy IT mogą liczyć na bezwzględne wsparcie związku zawodowego Syndicom, który ma również odpowiednik sekcji nowych technologii. Działaczom Syndicomu udało się założyć komisję zakładową także w lokalnym oddziale Google Switzerland, choć nie odbyło się to bez kłopotów. Pierwsze spotkanie pracowników alpejskiego Google'a z przedstawicielami Syndicomu skończyło się awanturą, kiedy kierownictwo Google'a gwałtownie zakończyło ich spotkanie. W lutym i marcu 2023 roku pracownicy Google Switzerland wspierani przez Syndicom wyszli na ulice i... osiągnęli swoje.

Azja związkami stoi

Związki zawodowe to codzienność również w technologicznych firmach w Azji.

Tuż po protestach demokratycznych w Hongkongu pracownicy sektora technologicznego założyli Hong Kong Information Technology Workers' Union i opracowali bazę danych przychylnych pracodawców, którzy popierają protesty. Związek został później rozwiązany z powodu powszechnych represji państwowych prochińskiej administracji, pracownicy sektora mogą się zaś zrzeszać w koncesjonowanych przez Pekin związkach z kontynentalnych Chin.

Dość dramatycznie powstawał związek pracowników branży technologicznej w ramach Business Process Outsourcing Industry Employee's Network na Filipinach. W 2021 roku jego prezes musiał się ukryć po wzmożonym nadzorze rządowym i ataku na liderów organizacji związkowych w kraju. Filipiński BIEN ma długą historię współpracy z amerykańskim i kanadyjskim związkiem zawodowym pracowników branży technologicznej, mediów i telekomunikacji Communications Workers of America.

Południowokoreańskie związki zawodowe pracowników branży IT, technologii i gier to u azjatyckiego tygrysa nowy trend, który jest widoczny głównie w Pangyo Techno Valley (koreański odpowiednik Doliny Krzemowej), gdzie w 2018 roku powstały pierwsze organizacje, a kolejne – cztery lata temu. To tam we wrześniu 2018 roku ponad 300 pracowników firmy produkującej gry wideo Nexon utworzyło pierwszy w kraju związek zawodowy pracowników branży gier w spółkach zależnych firmy, takich jak Nexon Networks Corp., Neople i Nexon Red. Rok później ponad 600 członków podjęło działania zbiorowe w związku z reorganizacjami, bezpieczeństwem pracy i innymi problemami w Nexon. Nie tylko to – w 2020 roku związek znany jako Starting Point skutecznie wywalczył znaczące podwyżki dla członków.

Ale kolejne związki powstawały również w innych koreańskich firmach technologicznych. Pracownicy południowokoreańskiej firmy produkującej gry Smilegate utworzyli związek SG Guild i skutecznie nakłonili kadrę kierowniczą Smilegate do podpisania umowy z pracownikami regulującej „ludzkie" praktyki pracy. W marcu 2021 roku związek zawodowy utworzyli także pracownicy firmy bankowej KakaoBank, działającej wyłącznie online, a miesiąc później podobny związek powstał w firmie technologicznej Webzen, która jest deweloperem gier online. Kolejne związki zawodowe powstały również w firmach technologii finansowych i gier AhnLab, Hangul & Computer, XL Games i Naver.

Dwa lata temu Google Korea i Google Cloud Korea utworzyły wspólną centralę związkową z Korea Finance & Service Workers Union, związkiem, który wcześniej zorganizował pracowników w Oracle, Hewlett Packard, SAP i Microsoft Korea.

Powstanie komisji zakładowych również w polskich firmach technologicznych jest kwestią niezbyt odległego czasu.

ZWIĄZKI ZAWODOWE BRANŻY IT NAJDŁUŻEJ W EUROPIE DZIAŁAJĄ W... RUMUNII, GDZIE ISTNIEJĄCY OD 2009 ROKU SINDICATUL IT TIMIȘOARA REPREZENTUJE INTERESY 3000 PRACOWNIKÓW IT I OUTSOURCINGU.

eprasa.pl d85bf63bee

Nawrocki, WYGRANI, PRZEGRANI

Stwierdzenie, że tego wieczoru nie zapomni żaden z dwóch biorących udział w drugiej turze wyborów prezydenckich kandydatów, to **niesamowity banał**. Takie zdanie pasuje przecież do każdego wyborczego finiszu. A jednak przebieg wydarzeń 1 czerwca 2025 roku był wyjątkowy, choć nie bezprecedensowy. Mało kto pamięta, że w 1995 roku Lech Wałęsa przez kilka godzin mógł poczuć się zwycięzcą, lecz swojej drugiej kadencji nie zdobył. Tym razem, po ogłoszeniu wyników exit poll, euforia zapanowała w sztabie Rafała Trzaskowskiego, lecz dwie godziny później było jasne, że radość ta była przedwczesna. Karol Nawrocki wygrał.

Krzysztof Karnkowski

Te wybory rzeczywiście były najmniej sprawiedliwe w ciągu ostatnich 35 lat. Były to wybory nieuczciwe. Strumień propagandy i kłamstwa finansowany przez spółki Skarbu Państwa, instytucje państwa polskiego wykorzystywane do walki z kandydatem obywatelskim. Zabrana subwencja partii, która mnie popierała – PiS. I co? I nic! Jesteśmy i wygramy – mówił Karol Nawrocki dwa tygodnie wcześniej, po ogłoszeniu pierwszych, sondażowych wyników pierwszej tury.

Ustawiony mecz

Rzeczywiście trudno mówić tu o wyrównanym pojedynku. Po stronie Nawrockiego był entuzjazm jego wyborców i współpracowników, choć czy w pełni angażowali się na rzecz jego wygranej wszyscy działacze PiS, pozostanie pewnie kwestią dyskusyjną. Miał za sobą Solidarność, dwie zyskujące na coraz większym znaczeniu konserwatywne telewizje, kilka tygodników i solidny, oddolny ruch poparcia w mediach społecznościowych. Dzięki temu ostatniemu zdobył również środki na kampanię, których władza w olbrzymiej części próbowała go pozbawić. Rafała Trzaskowskiego bezceremonialnie i bezwstydnie popierały wielkie media publiczne i prywatne, stały za nim wielkie i często nierozliczane zgodnie z prawem wyborczym środki na kampanie „profrekwencyjne", uderzające w jego kontrkandydatów, wielki biznes i takie też pieniądze. Służby i instytucje państwa miesiącami szukały haków i słabości jego głównego przeciwnika, by następnie – bez sprawdzenia i weryfikacji – dostarczać je usłużnym mediom. W kampanię najpierw włączyły się NIK i ABW, a następnie również NASK, która próbowała wbrew faktom nielegalne wsparcie dla Trzaskowskiego przedstawiać jako atak na jego kampanię. Ta instytucjonalno-akademicka sieć, powołana do ochrony naszej cyberprzestrzeni, okazała się ślepa, głucha i poporządkowana potrzebom sztabu jednego z kandydatów. Trudno się temu dziwić, skoro nadzorował ją jeden z członków tego ciała. Na pierwszą turę to wystarczyło. Na drugą już nie.

Tu już zaszła zmiana

W poprzednim numerze „TS", który ukazał się po ogłoszeniu ostatecznych wyników, opublikowałem analizę wyników głosowania z 18 maja i ich możliwego przełożenia na dalsze losy polskiej polityki i rządu Donalda Tuska. Te bowiem można było nakreślić niezależnie od tego, kto zostanie ostatecznym zwycięzcą, ponieważ wiele danych było już jasnych i potwierdzonych. Kandydaci wywodzący się wprost z kręgów rządowych zdobyli mniej głosów od przedstawicieli opozycji konserwatywnej, a ci uzyskali łącznie poparcie powyżej 50%. Do tego doliczyć trzeba niezły wynik lewicowego krytyka Tuska – Adriana Zandberga. Wskazywało to, że dyna-

eprasa.pl d85bf63bee

Fot. Jacek Szydłowski / Forum

Wieczór wyborczy Karola Nawrockiego po ogłoszeniu wyników exit poll, po II turze wyborów obowiązkowych; Warszawa, 1 czerwca br.

mika jest oczywista, trend świadczy o odwróceniu się społeczeństwa od rządzących, a wynik wyborów jest odzwierciedleniem wcześniejszych badań pokazujących zarówno złe nastroje społeczne i niskie oceny rządu, jak i nie najlepszych danych gospodarczych. Przed drugą turą Koalicja Obywatelska postanowiła mocniej zmobilizować własny elektorat, równocześnie obrzydzając pozostałym wyborcom postać Karola Nawrockiego, do czego jeszcze wrócimy. Aby jednak wzmocnić morale swoich sympatyków, do walki włączył się Donald Tusk, który wręcz przysłonił kandydata w ostatnich dniach kampanii. To ułatwiło zrealizowanie kluczowego dla wygranej Nawrockiego założenia, by wybory uczynić plebiscytem „za" i „przeciw" rządowi Tuska, którego Trzaskowski w Pałacu Prezydenckim miał być już tylko dopełnieniem.

Liberalnie, a jednak socjalnie

Druga tura rozegrała się wokół kilku osi sporu naraz, przy czym postać Donalda Tuska była kluczowa dla wszystkich z nich. Pierwsza to wspomniana już sprawa oceny rządu, omówiona wcześniej. Po prawie półtora roku drożejącego chleba i pozorowanych igrzysk większość nie kwapiła się do wzmacniania obozu władzy, a zapewnienia o samodzielności politycznej Trzaskowskiego brzmiały fałszywie i zupełnie niewiarygodnie, nawet bez nazywania go za każdym razem „wiceprzewodniczącym" (w domyśle – Platformy Obywatelskiej) przez rywala. Wejście do gry kół prawicy spoza kręgu PiS wzmocniło wymiar tożsamościowy i suwerennościowy wyboru, przed którym stanęła Polska, a Nawrocki był tu wolny od kwestii ciągnących się za popierającą go partią. Jako szef IPN nie miał przecież nic wspólnego z polityką Mateusza Morawieckiego wobec Unii, tak chętnie krytykowaną przez Konfederację. Z kolei Rafał Trzaskowski jawił się jako idealny kandydat międzynarodowych elit, który bez szemrania autoryzować będzie nad Wisłą każdą, również bardzo dla obywateli bolesną, agendę wdrażaną w życie przez UE i rząd. Ta świadomość musiała wpłynąć na bardzo mocne, szacowane na ponad 90% poparcie wyborców Grzegorza Brauna z pierwszej tury. Z kolei dla 80% elektoratu Sławomira Mentzena kluczowe było zapewne również podpisanie się Karola Nawrockiego pod kilkoma

eprasa.pl d85bf63bee

wskazanymi przez niego punktami programu, nie stojącymi przecież w sprzeczności z tym, co sam Nawrocki zapowiadał. Tu mała dygresja – w części wyborców o bardziej prospołecznych poglądach mogło to budzić niepokój, sądzę jednak, że bliskie relacje nowego prezydenta z Solidarnością pozwolą wypracować tu model działania łączący dobre podejście i do pracowników, i do pracodawców. Nie przypadkiem podczas ostatniego przedwyborczego marszu w Warszawie kandydat PiS podkreślał swoje przywiązanie do socjalnego dziedzictwa poprzednich dwóch rządów.

Wspólnota życiorysów, wspólnota aspiracji

Co ciekawe, choć obawiano się tej liberalnej dominanty w kampanii wyborczej, nie stanęła ona na przeszkodzie, by na finiszu mocno zaznaczyły się w niej kwestie społeczne. W kontrze do wizerunku wyjętego z reklamy lepszego świata „bananowego" Rafała Trzaskowskiego stał przecież chłopak z robotniczego osiedla, który do wszystkiego w życiu dojść musiał sam, i niczym J.D. Vance, amerykański wiceprezydent, z którym bywa czasem porównywany – doszedł. Gdy okazało się, że dla wielu przedstawicieli „elity" kompromitująca Nawrockiego miałaby być nie przyklejana mu gęba człowieka z półświatka, ale sam fakt „niewłaściwego" pochodzenia i imanie się różnych zajęć w celu poprawy losu, wielu komentatorów zobaczyło w opowieści Nawrockiego swoją własną lub podobną historię. W prawicowych mediach tradycyjnych i społecznościowych pojawiły się liczne opowieści innych, którym też w logice III RP raczej nie powinno się udać – i którym udało się bardziej pomimo niż dzięki niej, jak Maciejowi Kożuszkowi, Rafałowi Otoce-Frąckiewiczowi czy Wojciechowi Musze. Obrona Pałacu przed Nawrockim okazała się kolejną odsłoną doświadczonej przez wielu obrony posad, miejsc na wydziałach uczelni, całego prestiżu, który wykształciła w sobie Polska jako postkomunistyczne, w niektórych swoich wymiarach kastowe społeczeństwo. „To jest trochę niesamowite, jak wielu z nas miało podobne doświadczenie. Jakby całe pokolenie dzisiejszych 40-latków zbudowano w podobny sposób" – komentował na portalu X Artur Ceyrowski. Cała ta szarża elit przeciw Nawrockiemu nadała starciu mocniejszego, klasowego charakteru, co również okazało się dobrym scenariuszem dla kandydata prawicy.

> WEJŚCIE DO GRY KÓŁ PRAWICY SPOZA KRĘGU PiS WZMOCNIŁO WYMIAR TOŻSAMOŚCIOWY I SUWERENNOŚCIOWY WYBORU, PRZED KTÓRYM STANĘŁA POLSKA.

> WIELU KOMENTATORÓW ZOBACZYŁO W OPOWIEŚCI NAWROCKIEGO WŁASNĄ LUB PODOBNĄ HISTORIĘ.

Powrót do tego, co było

Co może jednak wydać się zaskakujące, również dzięki tej osi podziału przy Karolu Nawrockim znalazła się duża część młodzieży, również tej, dla której historie Kożuszka czy Muchy są już dość zamierzchłą historią. Stało się tak dlatego, że beneficjenci III RP chcą co najwyżej kontynuacji, a ci, dla których była to bardziej macocha niż matka, są dużo bardziej nastawieni na aspiracje. Syte, wielkomiejskie elity spod sztandarów Tuska czy Trzaskowskiego nie potrzebują modernizacji, wielkich inwestycji czy rozwoju komunikacji innej niż między stolicami państw lub kilkoma regionami. Młodsi patrzą na to zupełnie inaczej, chcąc i oczekując od państwa szans, których ich trochę starsi koledzy z wielu powodów nie dostawali. I – inaczej niż tamtym – po drodze już im to przecież obiecano. Jedni pamiętają więc własną historię, drudzy, świadomie lub podświadomie, nie chcą jej powtórzyć, co skłania ich ku Nawrockiemu, który w drugiej turze zdobył kredyt zaufania wielu młodych ludzi, w tym kilku naprawdę znanych influencerów (tu Trzaskowskiemu zaszkodził też Tusk, powołując się na skompromitowanego w tym środowisku Jacka Murańskiego). I to również – podobnie jak oba wskazane wcześniej czynniki – przełożyło się na pospolite ruszenie, dzięki któremu pomimo wszystkich nieczystych posunięć Karol Nawrocki nie dał się zepchnąć poniżej 50% poparcia.

eprasa.pl d85bf63bee

Dodajmy do tego obrazu jeszcze jeden element – ujawnione tuż przed wyborami tajne rządowe strategie zakładające, że Polska wrócić ma do dyfuzyjno-polaryzacyjnego modelu rozwoju, czyli systemu, w którym państwo wspiera jedynie kilka większych ośrodków, godząc się na drenaż i zamieranie całej prowincji. Polacy chyba podświadomie zobaczyli już ten kierunek, co widać na mapie wyborczych wyników. Na poziomie województw wciąż mamy jeszcze podział wschodu i zachodu, z echami dawnych granic rozbiorowych. Gdy jednak spojrzeć na wyniki w powiatach czy gminach, to pęknięcie z pierwszej mapy okazuje się kłamstwem. Tak naprawdę Polska jest morzem terenów niebieskich (przewaga Nawrockiego) z pomarańczowymi wysepkami większych miast, gdzie przewagę miał Trzaskowski. Przeciwko Platformie coraz mocniej głosuje więc część Polski, którą partia ta chciała i ponownie chce zepchnąć na margines, zmienić w dziczejący, wyludniający się skansen, z którego życie wyssie najbliższa metropolia albo zagranica. Tak jak działo się to przed 2015 rokiem.

TRZASKOWSKIEGO BEZCEREMONIALNIE I BEZWSTYDNIE POPIERAŁY WIELKIE MEDIA PUBLICZNE I PRYWATNE.

Sprzeczne sygnały

Choć na razie nie wydaje się, by przedstawiciele władzy chcieli zakwestionować wynik wyborów, jest oczywiste, że relacje Koalicji 13 grudnia z prezydentem będą trudne. Rafał Trzaskowski na sam koniec swej prezydenckiej przygody zachował się z pewną klasą i napisał – trzeba mu to oddać – zupełnie normalne gratulacje, jednak karty rozdawać będzie raczej ktoś inny (chyba że potwierdzą się plotki, że teraz zostanie on wrobiony w premierostwo). Jego sympatykom klasy tej zabrakło, gdy w wyjątkowo podły sposób atakowali w sieci siedmioletnią córkę Nawrockiego lub poddawali szykanom lub ostracyzmowi jego sympatyków w miejscach pracy. Wypowiedzi marszałka Szymona Hołowni są sprzeczne, jednak gdy pisze o tym, że to on będzie musiał (jak dodaje – „nie daj Boże") prezydenta zastąpić, pobrzmiewa w tym jakaś groźba lub przynajmniej mało sympatyczna nuta. Premier Tusk natomiast kontynuuje starą linię i zapowiada ignorowanie prezydenta i działanie za pomocą urzędniczych sztuczek tak, by pozbawić głowę państwa wpływu na te sprawy, w których hamowałby on apetyty Koalicji Obywatelskiej. Pierwsze dni po wyborach przyniosły sprzeczne sygnały w postaci krytycznych wobec Tuska wypowiedzi kilku ludowców, zapowiedzi zaostrzenia represji wobec opozycji (tu nawet data aresztowania kontrowersyjnych dla wielu Kamratów nie wydaje się przypadkowa) i szczątkowych prób autorefleksji. Być może czytający ten tekst będą już w innej sytuacji politycznej niż piszący. Zagadką pozostaje też, czy ciąg dalszy będzie miał raport OBWE druzgocący dla Platformy i NASK. Czy da się tę sprawę przemilczeć tak, jak próbowano zrobić to przed wyborami? To jedno z bardzo wielu nurtujących Polaków pytań. Pewne jest natomiast jedno – Karol Nawrocki wygrał wybory prezydenckie. Nie dajmy odebrać sobie radości z tego powodu, nawet jeśli bardzo wielu szuka teraz swojej małej zemsty za trawiące ich wielkie frustracje i potężne kompleksy. S

MASZYNA DO RYSOWANIA KARNKOWSKI

eprasa.pl d85bf63bee

Już nie Bążur, a Orewuar

Klęska w wyborach prezydenckich oznacza **kres politycznych karier** dwóch najważniejszych polityków Koalicji Obywatelskiej: premiera Donalda Tuska oraz niedoszłego prezydenta Rafała Trzaskowskiego.

Igor Zalewski

Fot. Adam Chełstowski / Forum

Oczywiście nie będzie tak, że obaj nagle znikną ze sceny. Ich zmierzch będzie powolny, ale nieubłagany. I kłopotliwy: bo liderami KO będą jeszcze przez jakiś czas ludzie, na których nie da się zbudować przyszłości. Będą więc – zwłaszcza Donald Tusk – ciągnąć swoją formację w dół.

Zmierzch bożków

Bardziej oczywista wydaje się przyszłość Rafała Trzaskowskiego. Choć istnieje porzekadło „do trzech razy sztuka", to kolejnej szansy w wyborach prezydenckich nie da mu już nikt. Twarz Rafała Trzaskowskiego z charakterystycznym kwaśnym uśmiechem jest twarzą porażki. Prezydent Warszawy ma jakiś feler, który czyni go w zabawnie ironiczny sposób bardzo polskim politykiem. „Gdyby nie słupek, gdyby nie porzeczka, gdyby się nie przewrócił, byłaby rzecz wielka" – śpiewał Kazik w piosence „Plamy na słońcu". Już Juliusz Cezar, a potem Napoleon twierdzili, że szczęście to jest kluczowa dla polityka kategoria i bez niego po prostu szybko znika się z kart historii. Napoleon unikał awansowania oficerów, którzy nie byli farciarzami. Trzaskowski bez wątpienia szczęściarzem nie jest, bo nie może być nim ktoś, kto ciągle przegrywa o włos.

Nie będzie już zatem kandydować na prezydenta, choćby dlatego, że sam nie chciałby ryzykować trzeciej porażki. Druga i tak będzie go pewnie kosztować grube tysiące wydane na dobrych terapeutów. Ale z nieodklejalną łatką przegrywa traci też szanse na przejęcie pałeczki lidera KO od Tuska. Jeszcze w 2020 roku to było do zrobienia.

DONALD TUSK SWYM OBŁĄKANYM WYWIADEM DLA BOGDANA RYMANOWSKIEGO WYSTRASZYŁ NIEZDECYDOWANYCH WYBORCÓW.

Ówczesna porażka niosła ze sobą kapitał w postaci milionów głosów. Tusk był jeszcze poza polską polityką, a Borys Budka ma wypisane na czole, że na lidera nadaje się mniej więcej tak, jak na latynoskiego amanta. Trzaskowski miał wtedy przywództwo w zasięgu ręki, ale tej ręki nie wyciągnął, bo jest politykiem, który nie lubi konfrontacji. Woli, by coś mu podsunąć pod nos, i jeśli może, unika walki. Przyjął zatem skwapliwie ofertę od szykującego się do powrotu Tuska: dla ciebie prezydentura, dla mnie KO.

Tej prezydentury – choć wydawała się na wyciągnięcie ręki – jednak nie ma. A kapitał sprzed 5 lat

eprasa.pl d85bf63bee

też już nie istnieje. Owszem, Trzaskowski znowu przyciągnął miliony wyborców, ale zawiódł w o wiele łatwiejszej sytuacji: przegrał z pogrążonym w kryzysie PiS, odciętym w opozycji od potencjału, który daje władza. Ten potencjał był teraz po jego stronie, podobnie jak zdecydowana większość mediów. A jednak się nie udało. I dlatego Trzaskowski nie będzie już koniem, na którego się stawia. „Już nie Bążur, a Orewuar" – śpiewano w jednej z hiphopowych piosenek wyborczych wykreowanych przez AI przed drugą turą. Wers okazał się proroczy. Trzaskowski żegna się z pierwszą ligą polskiej polityki.

Pojawił się co prawda pomysł Antoniego Dudka, by Trzaskowski zastąpił Tuska na stanowisku premiera. Ale to koncept karkołomny i – szczerze mówiąc – niedorzeczny. Premierostwo nie jest nagrodą pocieszenia dla poturbowanego prymusa. To epicentrum polskiej władzy. Szef rządu zależy od liczby szabel, które posiada. A w Platformie tymi szablami zawiaduje Tusk, a nie Trzaskowski. No i chciałbym zobaczyć obecnego premiera, gdy słyszy propozycję, by ustąpił miejsca przegranemu kandydatowi. Sformułowanie „premier się wściekł" nabrałoby wtedy nowego znaczenia. Nie wspominając już o tym, że ikona marszów LGBT byłaby dość trudna do zaakceptowania dla Marka Sawickiego i jego kolegów z PSL.

Co zatem czeka Rafała Trzaskowskiego? Przyszłość w stylu Jerzego Buzka, którym chętnie się chwalono, ale zupełnie się z nim nie liczono. Trzaskowski dokończy swoją misję jako prezydent Warszawy, a potem pewnie trafi do europarlamentu jako dość wczesny polityczny emeryt. Przestanie być aktywem KO i przestanie być liczącym się graczem w partii. Będzie się spełniał w Brukseli i szczerze mówiąc – tamtejsze salony to idealne dla niego miejsce.

Więcej demokracji walczącej

Mniej oczywista jest przyszłość Donalda Tuska. Bo ten dzierży w Koalicji Obywatelskiej władzę dyktatorską. I trudno mu będzie ot tak po prostu powiedzieć: „Donald, powinieneś odejść". Lecz Tusk także zakończy swoją karierę, ale dopiero po wyborach w 2027 roku. I skądinąd nie jest to dobra wiadomość dla Koalicji Obywatelskiej. Nie ta, że odejdzie, ale że uczyni to tak późno.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że to Tusk jest w tej chwili największym obciążeniem. I KO, i koalicji rządowej, i sztabu Rafała Trzaskowskiego w minionych wyborach. Notowania jego i kierowanego przez niego gabinetu są fatalne. To Tusk był balastem przywiązanym do nogi Trzaskowskiego próbującego wygrać prezydencki wyścig. To on swym obłąkanym wywiadem dla Bogdana Rymanowskiego wystraszył niezdecydowanych wyborców i spowodował, że ruszyli do urn – ale żeby głosować przeciwko Trzaskowskiemu. To Tuska było pełno wszędzie w końcówce kampanii, mimo że sztab zaklinał go, by raczej ograniczył swoje aktywności, bo – mówiąc oględnie – nie pomaga.

Obecny premier ma ogromny problem ze zrozumieniem faktu, że jego czar już prysł. I że stracił już dar uwodzenia ludzi. Jego powyborcze wystąpienie zawierające

eprasa.pl d85bf63bee

gromkie obietnice „wzięcia się do roboty” zostało przyjęte śmiechem i uszczypliwymi pytaniami, co szkodziło pracować już wcześniej. Zapowiedź votum zaufania znaczy, że Tusk nie myśli o własnej dymisji i ustąpieniu miejsca innym. Sądzi, że drobne korekty w gabinecie, ministerialne roszady i przegrupowanie sił pozwolą na przeprowadzenie nowej politycznej ofensywy, która okaże się rozstrzygająca. Sęk w tym, że Tusk szuka rezerw tam, gdzie zupełnie ich nie ma. Podobno pierwszą osobą do odstrzału w jego gabinecie ma być minister sprawiedliwości Adam Bodnar, który „nie dowozi” w kwestii rozliczeń. Kto go może zastąpić? Roman Giertych? Prokurator Ewa Wrzosek? Bo Feliks Dzierżyński już niestety nie żyje. To tak, jakby gasić pożar benzyną. Takie korekty zapewne wywołają paroksyzmy rozkoszy w członkach Tomasza Lisa czy Doroty Wysockiej-Sznepf. Przyniosą też zapewne garść entuzjastycznych twittów od Silnych Razem, ale też kolejne parodie filmu „Upadek”, w którym zamknięty w Kancelarii Rzeszy Hitler planuje nad mapą ataki nieistniejących armii i wpada w szał, gdy dowiaduje się, że to jedynie mrzonki.

Partia psuje się od Tuska

Czy Tuskowi przemówi do rozsądku Szymon Hołownia, Włodzimierz Czarzasty lub Władysław Kosiniak-Kamysz? Wątpliwe. W tej koalicji samcem alfa jest Tusk, pozostali liderzy z Hołownią na czele zaakceptowali tę dominację i teraz alfie trudno będzie wyjaśnić, że już nią nie jest. Tym bardziej że liderzy pozostałych ugrupowań koalicyjnych nie mają silnych kart. Mogą co najwyżej straszyć opuszczeniem koalicji, ale wtedy czynią z siebie owe słynne karpie domagające się przyspieszenia świąt Bożego Narodzenia. Koalicja Obywatelska przegra przyspieszone wybory, ale bez problemu przetrwa. Dla Nowej Lewicy czy Polski 2050 to może być tsunami, które zmiecie te formacje ze sceny. Będą więc broniły tej kadencji Sejmu do ostatniej kropli krwi. A to oznacza, że ich nacisk na Tuska będzie ograniczony.

Można zatem założyć, że obecny rząd z premierem Tuskiem na czele, w lekko zmienionej formie, przetrwa do wyborów w 2027 roku. Co to oznacza? Powolne gnicie. Budowanie miękkiego lądowania w obliczu porażki. Dalszy spadek notowań gabinetu, premiera i partii koalicyjnych. Wzrost notowań opozycji, w tym także partii Razem. A im bardziej tak się będzie działo, tym większa będzie panika w obozie rządowym i tym niższe standardy upadającej władzy. Po prostu klasyka.

Jeśli zatem Tusk nie odejdzie teraz – a nie odejdzie – poprowadzi swoją partię do klęski wyborczej w 2027 roku. Owszem, KO może do tego czasu połknąć Szymona Hołownię czy Nową Lewicę i hucznie ogłaszać zwieranie szyków „obozu demokratycznego”, ale niezależnie od obranej drogi będzie ona prowadzić do klęski, której wybory prezydenckie były jedynie preludium. Możliwe, że zapaść „obozu demokratycznego” spowoduje pojawienie się jakiegoś kolejnego Ryszarda Petru albo Szymona Hołowni, którzy będą chcieli „rozbijać duopol” i „odnawiać politykę”. Niewykluczone jednak, że ta rola została już przyznana Adrianowi Zandbergowi.

Odwrócenie tego trendu mogłoby przynieść jedno: znacząca poprawa jakości rządzenia. Ale do tego chyba Koalicja Obywatelska jest po prostu organicznie niezdolna. Takie ma DNA i takich ma ministrów, którym czasami zdarza się zaczynać weekend już w czwartek. Problemy wynikające z niekompetencji i lenistwa będą raczej narastać. Brak wizji też niespecjalnie tu pomaga.

Po porażce wyborczej Tusk nadal może trwać w przekonaniu, że tylko on jest w stanie wyciągnąć Koalicję Obywatelską z dołka. Już raz tego przecież dokonał. I nadal nie będzie chciał odejść. Ale wtedy już nastąpi bunt. Bo politycy PO nie będą chcieli umierać przez Tuska. I za Tuska. Pamiętajmy jednak, że to polityk, który przez lata konsekwentnie eliminował z PO wszelkie silniejsze osobowości, więc bardzo trudno jest w tej formacji znaleźć kogoś, kto jest w stanie unieść przywództwo. W tej chwili na taką osobę wygląda jedynie Radosław Sikorski. Owszem, jest w partii nielubiany i ma opinię buca. Ale ma też osobowość, a wiadomo, że w krainie ślepców jednooki jest królem. Sikorski to po prostu jedyny kandydat na następcę Tuska. Inni zostali wykluczeni, odeszli, ponieśli porażkę, nie sprawdzili się albo po prostu jeszcze się nie urodzili.

KTO MOŻE ZASTĄPIĆ ADAMA BODNARA? ROMAN GIERTYCH? PROKURATOR EWA WRZOSEK? BO FELIKS DZIERŻYŃSKI JUŻ NIESTETY NIE ŻYJE.

eprasa.pl d85bf63bee

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Magdalena Okraska

Niech cię opuści twoja siostra pogarda

Znamy wyniki wyborów prezydenckich. Wyborcom obu kandydatów towarzyszyły obawy, zaskoczenie, strach, że wygrają „ci drudzy". Ostatecznie liberalnej Polsce nie udało się stać się większością. Prezydentem kraju zostaje Karol Nawrocki, wyzywany od „sutenerów" i „gangusów". Po raz kolejny społeczeństwo udowodniło, że – pomimo medialnej nagonki ze strony tzw. obozu demokratycznego – nie chce oddać całej władzy w ręce „uśmiechniętych".

Przyczyn takiego wyniku wyborów jest kilka, ale ostatecznie przewagę Nawrockiemu zapewnili… sami wyborcy i politycy strony przeciwnej, którzy nie ustawali w obrażaniu jego elektoratu. Według nich, wyborcy prezydenta elekta są prości, zaczadzeni, ciemni, legitymują się wykształceniem podstawowym, charakteryzuje ich także niski poziom zasad moralnych, gdyż pozwalają, żeby „taki człowiek" zasiadał na tak eksponowanym stanowisku. Koalicja rządząca wraz z przystawkami zaprzęgła do swoich celów media, zarówno prywatne, jak i publiczne, internet, polityków, artystów i tzw. autorytety. Wszystko po to, by udowodnić, jak dalece Karol Nawrocki nie jest godzien stanowiska, które miałby zajmować. Szukanie haków na kandydata zmieniło się w obrażanie całych elektoratów prawicowych, konserwatywnych, tych niepewnych swojej decyzji, a także w obrażanie lewicy, która niewystarczająco żwawo złożyła Trzaskowskiemu hołd lenny. Pomiędzy turami wyborów przestały właściwie istnieć niezależne, obiektywne media. Portal Onet dzień w dzień odpalał race nowych rewelacji na temat kandydata prawicy. Posuwano się do pomówień, prezentowano niesprawdzone pogłoski, a w rolach autorytetów i informatorów liberałowie obsadzano postaci, na które w innych okolicznościach nie splunięto by na ulicy. Wyborcy mieli tego dosyć, masa krytyczna została przekroczona. Nie działały już prostytutki, snus ani wczesna ciąża żony kandydata. Wręcz przeciwnie, jego „zwykłość" zaczynała powoli budzić sympatię.

Bo pogarda jest jak żółć, a stosowana uporczywie i stale wzmacnia tego, kim się gardzi. Mamy dość wyśmiewania, poniżania i umniejszania nam przez tych, którzy jednocześnie cytują wiersze Zbigniewa Herberta. Ich zachowanie nie zmieniło się zresztą po rozstrzygnięciu wyniku tych wyborów. Agnieszka Holland z żalem ogłasza, że „prezydenta wybrali nam nieświadomi ludzie po podstawówce". Brak namysłu nad tym, jaka może być przyczyna takiej decyzji wyborczej, poza racjonalizacją uwielbianą przez obóz liberalny, a mianowicie, że ktoś jest „głupi". I koniec, werdykt wydano.

Żyjemy w świecie instytucjonalnej wręcz pogardy dla ubogich, słabych, chorych, „prostych" i nienadążających za zmieniającym się światem. Na mocy umowy społecznej „można" ich obrażać i sugerować im rozmaite deficyty. A potem znowu zaskoczenie, że wynik wyborów jest, jaki jest. Jak to, nie chcecie naszego europejskiego prezydenta, który miło się uśmiecha i ma wszystkie zęby?

Nie chcemy.

eprasa.pl d85bf63bee

Szowinista, populista, nacjonalista – zagraniczne media prześcigają się w stosowaniu obrzydliwych określeń Karola Nawrockiego. Jego zwycięstwo jest spełnieniem **złego snu** wszystkich, którzy pragnęli przekształcenia Unii Europejskiej w superpaństwo, ale przede wszystkim oznacza znaczne osłabienie Donalda Tuska na arenie międzynarodowej.

Mariusz Staniszewski

Koszmar lewicowej Europy

Nie trzeba czytać długich analiz dotyczących skutków wyborów w Polsce. Wystarczy przejrzeć stosowane wobec prezydenta elekta epitety. Jeśli określany jest jako polityk skrajny, nieobliczalny, nacjonalista, to wiadomo, że mamy do czynienia z histerycznym tekstem, który ma tylko przestraszyć opinię publiczną Francji, Niemiec czy Wielkiej Brytanii. W poważniejszych publikacjach Karol Nawrocki występuje jako polityk narodowo-konserwatywny, którego z Donaldem Trumpem i szerzej ruchem MAGA (Make America Great Again) łączy wspólnota wartości. To z kolei implikuje bardzo poważne konsekwencje.

Słabnący Tusk

Zarówno w Polsce, jak i za granicą zwycięstwo Karola Nawrockiego jest postrzegane jako porażka Donalda Tuska. Żaden poważny analityk nie ma wątpliwości, że Rafał Trzaskowski jest politykiem niesamodzielnym, pozbawionym większych ambicji oraz umiejętności do wyznaczania strategicznych celów, a także niezdolnym do odegrania roli podmiotowej w szybko zmieniającej się rzeczywistości. Liderem obozu liberalno-lewicowego miał pozostać – nawet po sukcesie wyborczym prezydenta Warszawy – premier i to na nim miała się opierać nowa europejska strategia, staran-

eprasa.pl d85bf63bee

Fot. Jakub Porzycki / Forum

nie tkana przez Niemcy i Francję we współpracy z Wielką Brytanią. Jej celem miała być stopniowa emancypacja Europy w relacjach ze Stanami Zjednoczonymi.

Aby było to możliwe, trzeba spełnić kilka warunków:

– skonsolidować władzę centralną w Unii Europejskiej, a więc wzmocnić uprawnienia Komisji Europejskiej, czyli w rzeczywistości Niemiec i Francji;
– ujednolicić system władzy w państwach członkowskich UE, by rządy narodowe nie kwestionowały kierunku, w którym podąża Komisja Europejska; w rzeczywistości oznacza to zepchnięcie konserwatystów na margines lub zmuszenie ich do przyjęcia wyznaczonych reguł gry;
– rozbudować europejskie siły zbroje, ale nie jako armie państw narodowych, ale raczej podporządkowane europejskiemu dowództwu;
– zmodernizować i scentralizować europejski przemysł zbrojeniowy, by był zdolny zaopatrywać europejską armię, a więc ograniczyć transfer środków do USA;
– ujednolicić prawo, szczególnie w zakresie cenzury, rugowania religii, narzucania norm obyczajowych, by łatwiej można było zarządzać tak wielką wspólnotą.

Tusk, który miał posiadać w Polsce jednowładztwo, byłby idealnym partnerem do realizacji tego projektu. Przez półtora roku udało mu się nie tylko w pewnym zakresie skryminalizować konserwatywną opozycję, ale przede wszystkim pokazać, że swoje cele może osiągać brutalnymi metodami.

Zwycięstwo Karola Nawrockiego pokazało jednak słabość premiera. Nie tylko nie zdominował polskiej sceny politycznej, ale zaledwie półtora roku po przejęciu władzy doznał druzgocącej porażki. Na dodatek jego notowania są fatalne, co zauważają nawet przyjazne mu zagraniczne media.

W oczywisty sposób przestaje więc być partnerem godnym uwagi. Najważniejsze europejskie stolice muszą skorygować swoje plany dotyczące zmiany traktatów UE oraz wypychania USA z Europy.

Kluczowe ogniwo

Bardzo ciekawą analizę relacji Polski z USA, Unią Europejską, państwami basenu Morza Bałtyckiego i oczywiście Berlinem przeprowadził niemiecki think tank Stiftung Wiessenschaft und Politik (Fundacja Nauki i Polityki). Autor Kai-Olaf Lang przedstawił nasz kraj jako kluczowe ogniwo zarówno w dziedzinie bezpieczeństwa europejskiego, jak i relacji transatlantyckich.

W kwestii militarnej Polska jest istotna z powodu szybkiego wzmacniania armii, a więc rosnącego znaczenia geopolitycznego. Równie ważne są zakupy broni. Dopóki większość sprzętu kupujemy w Stanach Zjednoczonych, dopóty relacje Warszawa – Waszyngton będą miały znaczenie strategiczne. Dlatego w interesie Niemiec i Francji jest zastąpienie USA jako głównego dostawcy uzbrojenia dla Polski. Z jednej strony zapewniłoby to przemysłowi naszego sąsiada dopływ ogromnych pieniędzy, z drugiej zaś na stałe strategicznie związało oba kraje.

NIEMCY NIE SĄ ZDOLNE DO POWAŻNYCH DZIAŁAŃ MILITARNYCH I POLITYCZNYCH.

Autor bardzo celnie zauważa, że dostawca broni może mieć ogromny wpływ na politykę państwa, do którego sprzęt trafia. Od zaopatrzenia zależy wszak bezpieczeństwo kraju kupującego.

Polacy z oczywistych powodów bardziej w tym zakresie ufają Amerykanom niż Niemcom, ale think tank dostrzegł możliwość zmiany tej sytuacji, jeśli do władzy w naszym kraju nie wróciliby politycy związani z PiS. Wybór Karola Nawrockiego

eprasa.pl d85bf63bee

w dużej mierze przekreślił te nadzieje. Wiadomo, że nowy prezydent, który jeszcze pełni funkcję prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, jest wyczulony na kwestie niemieckiej odpowiedzialności za krzywdy wyrządzone Polsce, ale przede wszystkim opowiada się za silnymi więzami transatlantyckimi i to głównie w znaczeniu bilateralnym. Z dwóch zasadniczych powodów nie będzie więc przykładał dużej wagi do wzmocnienia pozycji komponentu europejskiego w NATO. Po pierwsze, jest zwolennikiem silnej i niepodległej Polski, a nie europejskiej federacji. Po drugie, zdaje sobie sprawę, że jedynie USA są w stanie realnie powstrzymywać rosyjskie dążenia neoimperialne.

Niemcy zaś albo będą dążyć do porozumienia z Rosją kosztem państw Europy Środkowej, albo – jeśli nawet chciałyby powtrzymać ekspansję Moskwy – nie są zdolne do poważnych działań militarnych i politycznych. Pokazała to dokładnie wojna na Ukrainie.

W tej sytuacji Karol Nawrocki staje się jedną z głównych przeszkód w realizacji niemiecko-francuskiej strategii. Trzeba pamiętać, że z powodu swojego położenia, wielkości oraz szybko rozwijającej się gospodarki Polska ogrywa tu kluczową rolę.

Istotny jest także jeszcze jeden element, o którym u nas rzadko się mówi. Zakupy zbrojeniowe dla polskiego wojska będą w dużej mierze wyznaczać kierunek rozwoju europejskich sił zbrojnych. To właśnie nasz kraj buduje najsilniejszą armię lądową w Europie, to ona będzie wyznaczać standardy i do niej będą musieli się dopasować inni. Jeśli siła zostanie zbudowana głównie w oparciu o technologie amerykańskie, Stany Zjednoczone zakotwiczą się tu na kolejne dziesięciolecia. Zatem francusko-niemiecki projekt „Strategicznej autonomii", czyli militarnego uniezależnienia od Waszyngtonu i powolne wypychanie Amerykanów z Europy, raczej będzie skazany na niepowodzenie.

Dlatego dziś tak ważne dla europejskiego establishmentu było pokonanie prawicy w Polsce. Teraz wszystko się pokomplikowało.

Niebezpieczny precedens

Unijni politycy, zwłaszcza niemieccy, doskonale zdają sobie sprawę, że w Polsce rośnie nieufność wobec Brukseli i Berlina. Szczególnie w związku z pomijaniem naszego kraju przy podziale środków unijnych na cele rozwojowe, związane z bezpieczeństwem oraz wzmacnianiem przemysłu zbrojeniowego.

Logika jest prosta. Jeśli Unia Europejska skąpi na polskie bezpieczeństwo i rozwój, jedynym gwarantem pozostaje Ameryka. Dlatego w budżecie Wspólnoty znalazły się środki na „Tarczę Wschód", a pieniądze przeznaczone na inne cele mają być przesunięte, zgodnie z życzeniem rządu w Warszawie.

Okazało się, że to jednak za mało. Jak mocno zachodni politycy i analitycy nie zaklinaliby rzeczywistości, to mało ambitna polityka Donalda Tuska, protegowanego brukselskiego establishmentu, została przez Polaków odrzucona.

Unia nie pozwoliła jednak premierowi na eskalowanie bezprawia, choćby na kwestionowanie legalności izby Sądu Najwyższego, która ma zatwierdzić wybór Nawrockiego. Europejscy politycy z Ursulą von der Leyen na czele nie pozostawili tu żadnych wątpliwości, szybko uznając zwycięstwo kandydata prawicy.

Najwidoczniej stwierdzili, że jeszcze większa destabilizacja sytuacji w naszym kraju zagrażałaby bezpieczeństwu Niemiec. Polska pogrążona w kryzysie władzy nie mogłaby pełnić funkcji przedmurza Europy Zachodniej i Północnej – zarówno militarnego, jak i powstrzymującego falę migrantów nasyłanych przez Władimira Putina.

Równie istotna jest kwestia czysto polityczna. Nieuznanie legalności wyboru Karola Nawrockiego byłoby jasnym sygnałem do buntu dla partii prawicowych w całej Europie. Stałoby się jasne, że podobny los spotka konserwatystów w Niemczech, Francji, Hiszpanii, Austrii czy Holandii.

Wywołany przez Tuska chaos w Polsce mógłby się więc rozlać na całą Europę i paradoksalnie wzmocnić ugrupowania antyestablishmentowe. To zaś zagrażałoby rządom kanclerza Niemiec czy prezydenta Francji. Autorytarne zapędy Tuska zostały więc – przynajmniej na jakiś czas – utemperowane.

Szczególnie że na łamanie demokracji uwagę zaczęli zwracać Amerykanie, a Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie opisała wiele nadużyć, których dopuściła się rządząca obecnie ekipa podczas ostatnich wyborów. Gdyby wygrał Rafał Trzaskowski, wszystkie te opinie nie miałyby już znaczenia.

Sukces odniósł jednak Karol Nawrocki, który stał się oczywistym symbolem tego, że nawet w wyjątkowo nierównej walce demokracja potrafi zwyciężać.

POLSKA POGRĄŻONA W KRYZYSIE WŁADZY NIE MOGŁABY PEŁNIĆ FUNKCJI PRZEDMURZA EUROPY ZACHODNIEJ I PÓŁNOCNEJ.

eprasa.pl d85bf63bee

Piotr Skwieciński

Cichy dramat intelektualisty

W cieniu drugiej tury wyborów prezydenckich rozgrywał się cichy dramat psychologa społecznego Michała Bilewicza, któremu już od kilku lat prezydent Andrzej Duda blokuje nadanie tytułu profesora tzw. belwederskiego. Duda czyni to, mimo iż Bilewicz szczyci się statusem prekursora polskich badań nad „szowinizmem gatunkowym", mową nienawiści i psychologią jedzenia mięsa. Pisał też dużo i – dodajmy – z zacięciem o polskim antysemityzmie.

Nie jest przy tym uczonym, który by zamknął się w wieży z kości słoniowej i tam badał gwiazdy czy inne atomy. O nie, ma temperament publicystyczny. Na przykład tuż przed 1 czerwca orzekł, iż w drugiej turze „wybór jest prosty: sprowadza się do tego, po której stronie stodoły w Jedwabnem staniesz. Czy z jej podpalaczami, dobijającymi ofiary siekierami i widłami? Czy może po stronie Antoniny Wyrzykowskiej, która ratowała Żydów, za co musiała uciec z miasta?".

W Polsce profesorem zostaje się de facto z decyzji ciała zwanego Radą Doskonałości Naukowej, ale formalnie tytuł ten nadaje prezydent. Czyni to z głowy państwa kogoś w rodzaju notariusza, który wykonuje postanowienia kogoś innego, i – według interpretacji obowiązującej w środowisku naukowym – musi to uczynić niezależnie od tego, czy się z nimi zgadza, czy nie.

W sytuacji, w której prezydent nie zgadza się z daną decyzją Rady, i to nie zgadza się bardzo, wręcz – jak to się mówi – trzewiowo, bo uważa dorobek kandydata na profesora za intelektualną hochsztaplerkę albo – jak określił był prace Bilewicza Andrzej Duda – za działalność antypolską, trudno nie nazwać takiego wymogu czymś dla prezydenta upokarzającym. Żyrować decyzje kogoś innego, a przy tym uśmiechać się grzecznie i udawać, że są one twoje własne – to przecież naprawdę poniżające, trudno to ocenić inaczej.

Cała sprawa jest zresztą pokrewna – nie prawnie, tylko intelektualnie – problemowi szerszemu i dotyczącemu nie tylko Polski, ale całego świata zachodniego. Świata, gdzie zdominowane przez lewicowych liberałów elity naukowe i kulturalne są przekonane, że pochodząca z wyborów władza ma psi obowiązek finansować wszystkie tych elit działania, pomysły i spektakle, a zarazem wara jej od merytoryki. Czyli że wszelkie próby oceny tych aktywności i jakiegokolwiek wpływania na nie przez władzę są niewyobrażalnym horrendum.

Na tym między innymi polega obecny konflikt między administracją Trumpa a amerykańskimi wyższymi uczelniami współfinansowanymi przez władze federalne. Administracja chce, by w związku z tym współfinansowaniem uniwersytety zredukowały swoje zaangażowanie w krzewienie „postępu", a uczelnie odmawiają zmian i skarżą decyzje administracji do sądów – bo kto to widział, żeby ten, kto płaci, uzurpował sobie możliwość wpływu na cokolwiek związanego z tym, na co płaci. No cóż, à la polonaise brzmi ta zasada – według Michała Bilewicza – tak: „Jego [prezydenta – przyp. P.S.] rolą jest respektowanie opinii recenzentów wywodzących się ze środowiska naukowego". I tyle. Panie prezydencie: „Ruki pa szwam", środowiska słuchać!

Wracając więc na nasze podwórko: ponieważ prezydent Duda ewidentnie się w sprawie Bilewicza nie cofnie, to zostanie ona przedłożona, po inauguracji, Karolowi Nawrockiemu. Ten, zapewne, przychyli się tu do opinii poprzednika, i też decyzji nie podejmie. I tak aż do niewiadomego końca.

Co z tego wynika? Moim zdaniem przynajmniej tyle, że skoro prezydent Rzeczpospolitej ma powoływać profesorów i uroczyście wręczać im to powołanie, to trzeba dać mu jednoznaczne prawo do podejmowania merytorycznej decyzji w tych sprawach. Albo odwrotnie – zdjąć z niego ciężar powoływania profesorów. Niech to robi ten ktoś, kto podejmuje w tych sprawach realną decyzję. Prezydent Polski nie powinien być notariuszem.

Albowiem najgorsza zawsze jest fikcja.

eprasa.pl d85bf63bee

To się stanie, w co wierzymy

Dzieje III Rzeczypospolitej to także historia stanu **zbiorowej świadomości**. Przekonania i nastawienie, z którymi żyjemy, kształtują naszą rzeczywistość i przyszłość w nie mniejszym stopniu niż stan gospodarki, obronności czy usług publicznych.

Marek Wróbel

Zbiorowa świadomość to powszechne wyobrażenia żywione zarówno przez suwerena, czyli naród, jak i jego elity, czyli polityków, intelektualistów, publicystów, artystów, duchownych, różnego rodzaju działaczy i inne grupy mające decydujący wpływ na stan umysłów.

Od tego, jaki w danym momencie dominuje nastrój i zespół przekonań, zależy bardzo wiele – w sensie bezpośrednim i pośrednim.

Wpływ bezpośredni jest dość oczywisty: na przykład chęć do pracy czy rozmnażania się w niemałej mierze zależy od paradygmatów, w jakich poruszają się obywatele. Poczucie bezpieczeństwa, stałości, wiara w lepszą przyszłość, chęć wysiłku na rzecz zbiorowości – to wszystko wpływa na ludzkie postawy i codzienne decyzje. Albo chęć poświęcenia w obronie ojczyzny ma związek z oceną własnego państwa. Czy taka skłonność do emigracji: oczywiście wynika z obiektywnych okoliczności (jak poziom życia czy swobód obywatelskich), ale też z wiary – lub jej braku – że będzie lepiej.

Wpływ pośredni jest bardziej doniosły. Chociaż w państwie demokratycznym wyraża się w dwóch dość prostych parametrach: wyborze stronnictw, które na jakiś czas mają rządzić krajem, oraz w poziomie zaufania i spokoju społecznego (czyli poziomie tolerancji na posunięcia władzy), to jednak z tych dwóch czynników wyrasta cały skomplikowany układ skutków.

Zespół przekonań żywionych przez wielkie grupy społeczne i elity współprogramuje przyszłość kraju. Można postawić tezę, że im bardziej trzeźwe, choć nie pozbawione optymizmu przekonania, tym kraj będzie lepiej się rozwijał.

Ma się rozumieć, nie jest to jedyny czynnik, jest ich o wiele więcej, na przykład kultura (która jest czymś głębszym niż tylko zmienne paradygmaty), zasoby materialne, w tym naturalne, położenie geopolityczne czy poziom korupcji. Albo sąsiedztwo. Przecież inaczej myślelibyśmy o świecie i sobie samych, gdybyśmy byli położeni – powiedzmy – między Czechami a Austrią, a inaczej, gdy z jednej strony mamy Niemcy, a z drugiej Rosję.

eprasa.pl d85bf63bee

Depresja wspomagana

Początki III RP, poza krótką fazą entuzjazmu okrągłostołowego, charakteryzowały się powszechnym i prostym przekonaniem o absolutnej i wyrażającej się dosłownie w każdym aspekcie doskonałości monolitycznego „Zachodu". Wszystko, co zachodnie, było lepsze: od przywódców, przez samochody i popkulturę, skończywszy na jakości pasty do zębów. Przekonanie to przenieśliśmy z PRL-u.

Różnica między Polską komunistyczną a postkomunistyczną, gdy chodzi o dogmat o doskonałości Zachodu, szybko się uwidoczniła. O ile bowiem w PRL wiedzieliśmy, że jesteśmy gorsi, bo „oni" trzymają nas w biedzie i niewoli, o tyle po 1989 roku uzmysłowiliśmy sobie bardzo prędko, że samo obalenie muru berlińskiego i wydanie ludziom paszportów nie oznacza, że my także jesteśmy częścią pierwszego świata. I że ten świat uznaje nas za równych sobie.

Paradygmat wspaniałego, a jednak odległego Zachodu pozostał z nami na wiele lat. Z jednej strony motywował Polaków do pościgu, a z drugiej utrwalał poczucie niższości.

Chęć doganiania i kompleksy z kolei stanowiły znakomitą podbudowę i pożywkę dla najróżniejszych tez, które dziwnym zbiegiem okoliczności były bardzo korzystne z punktu widzenia naszych zachodnich partnerów.

Tezy te, w różnych odmianach i miejscach, składały się w dwuelementowy komplet: po pierwsze, powinniśmy ZAWSZE czuć się gorsi i zacofani, a po drugie, powinniśmy być maksymalnie otwarci na wszelkie idee, rozwiązania i w ogóle na wszystko, co z Zachodu przyjdzie. Czy chodzi tu o otwarcie naszego rynku na penetrację kapitału, czy model kultury, społeczeństwa, czy zgodę na kolejne modyfikacje zasad wyrażonych w traktatach unijnych.

To stąd najróżniejsze prawdy objawione tak łatwo przenikały do naszych elit oraz mas i kształtowały decyzje. Najlepsza polityka przemysłowa to brak polityki, kapitał nie ma narodowości, jeśli panna jest brzydka i nie ma posagu, powinna przynajmniej się uśmiechać, biznes zajmuje się wyłącznie pieniędzmi i nie ma innych celów, polityka to brudna sprawa, zostaw ją innym – doskonale pamiętamy te zasady wiary, które kształtowały całe pokolenie. Wymienione powyżej uległy, co prawda, już erozji, ale nie całkowitej, a poza tym zostały zastąpione przez nowe. Czy raczej nowe nałożyły się na stare.

Dla porządku należy dodać (dla Czytelników sprawa jest oczywista), że na straży przekonań stanął cały złożony system: od intelektualistów przesiąkniętych duchem 1968 roku, przez fundacje i inne instytucje wyłapujące i kształtujące młode talenty, media w dużej mierze opanowane przez kapitał zagraniczny, skończywszy na partiach politycznych, a nawet interweniujących bezpośrednio obcych politykach czy ambasadach.

Stare i stare-nowe

Niektóre stare paradygmaty nie wytrzymały próby czasu, bo Polacy zrozumieli, że nie wszystko na Zachodzie jest cudowne, zresztą sam Zachód nie przypomina samego siebie z lat świetności, a Polska w niektórych dziedzinach dorównała mu i przewyższyła go. I wiele już razy to my mieliśmy rację, a nie oni.

W dodatku rządy ostatniej dekady (i to jeszcze w nowych okolicznościach geopolitycznych) pokazały, że jednak coś w kraju może się zmienić: rząd dotrzymywać zasadniczych obietnic, prowadzić bardziej podmiotową politykę, niekoniecznie zgadzać się we wszystkim z mocarstwami, a kraj – omijać różne rafy, na które wpadają inni.

Ale stare przekonania są stale zastępowane przez kolejne, będące odmianami tych pierwotnych. Już mało kto na przykład sądzi, że dogonienie pierwszego świata pod względem gospodarczym jest poza zasięgiem. Zamiast tego zaczęło się mówić, że wejście do ekskluzywnego klubu jest już tuż-tuż, trzeba tylko... i tu

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl d85bf63bee

pojawiają się kolejne warunki. A to pozbycie się „faszyzmu" (czyli partii innych niż lewicowe i liberalne), a to przyjęcie euro lub zgoda na taką czy inną zmianę traktatów europejskich. Z najbardziej upragnioną likwidacją zasady jednomyślności na czele. A to stawianie kompletnie fałszywej alternatywy „Bruksela albo Moskwa". Jest to w gruncie rzeczy wciąż gra na tych samych kompleksach i poczuciu niższości w celu osiągnięcia tych samych celów, co przed trzydziestu laty.

Jednocześnie pojawiają się zupełnie nowe paradygmaty. Prawdziwe albo fałszywe, z tym bywa różnie, ale nowe. Na przykład koncept, że powinniśmy więcej współpracować (także w dziedzinie bezpieczeństwa) z krajami regionu i spoza niego, a przestać polegać wyłącznie na mocarstwach. Czyli że przyjacielem jest niekoniecznie ten, kto jest najsilniejszy, ale ten, kto ma wspólny z nami interes.

Albo świadomość, że jeśli nie zbudujemy własnej siły, nikt nie będzie się z nami liczył ani też nie pospieszy z pomocą. To dlatego kosztowny program zbrojeń został bez najmniejszego sprzeciwu zaakceptowany przez społeczeństwo. Co więcej, nawet komunikat premiera Donalda Tuska o potrzebie pozyskania broni jądrowej nie wywołał śmiechu czy oburzenia (co najwyżej niedowierzanie), a jeden z kandydatów na prezydenta nawet zapowiadał budowę lotniskowca!

Polacy chcą też rozwoju, bogactwa i prześcignięcia pod tym względem państw, z którymi wcześniej nawet nie śmieli się porównywać. Są też gotowi na zmianę gospodarczo-społecznych dogmatów. To dlatego premier Donald Tusk regularnie ogłasza nowe wizje: rok przełomu, doktrynę piastowską czy nacjonalizm gospodarczy. Bo wie, że to znajdzie posłuch.

Polska kultura i tożsamość zaś odniosły trwałe zwycięstwo w sferze symbolicznej. Niezorientowany obserwator zakończonej właśnie kampanii wyborczej mógłby odnieść wrażenie, że brali w niej udział sami nacjonalistyczni kandydaci. Wszyscy biało-czerwoni, prawie nie niebiescy, a tęczowa flaga pojawiała się tylko z rzadka na lewicy.

Pod fałszywą flagą

To wszystko świadczy o tym, że Polakom nie da się (a ściślej: politycznie nie opłaca się) wmawiać już, że są gorsi, bez szans, że muszą się ciągle zmieniać i dostosowywać. I wtedy mogą liczyć na status, jak to określił kiedyś Jarosław Kaczyński, wice-Niemców. To już nie działa.

Obóz liberalno-lewicowy (nie tylko u nas zresztą) zmienił więc taktykę, bo musiał dostosować się do nowych aspiracji i oczekiwań.

Tyle że za „doktrynami piastowskimi" czy „wgniataniem Putina w ziemię" kryje się albo żadna, albo ta sama, dobrze znana treść. Strategia „roku przełomu" nie zawiera żadnych nowych treści. Nacjonalizm gospodarczy nie przeszkadza oddawać kolejnych pól firmom zagranicznym. Budowa tarczy Wschód nie posuwa się – a już na pewno nie ma żadnych działań na granicy zachodniej, która jest całkowicie po naszej stronie otwarta (choć Niemcy zawiesili zasady Schengen).

Pod buńczucznymi deklaracjami o suwerenności i podmiotowości kryją się zaś działania albo zaniechania, które wprost prowadzą do ograniczenia swobody ruchów czy perspektyw rozwojowych. Jak w przypadku programu ReArm Europe, reklamowanego jako wielki krok w dziedzinie obronności europejskiej. A tymczasem jest to pożyczka udzielana na zamówienia w unijnych firmach – czyli w zasadzie

MOŻNA POSTAWIĆ TEZĘ, ŻE IM BARDZIEJ TRZEŹWE, CHOĆ NIE POZBAWIONE OPTYMIZMU PRZEKONANIA, TYM KRAJ BĘDZIE LEPIEJ SIĘ ROZWIJAŁ.

POD BUŃCZUCZNYMI DEKLARACJAMI O SUWERENNOŚCI I PODMIOTOWOŚCI KRYJĄ SIĘ DZIAŁANIA ALBO ZANIECHANIA, KTÓRE WPROST PROWADZĄ DO OGRANICZENIA SWOBODY RUCHÓW CZY PERSPEKTYW ROZWOJOWYCH.

eprasa.pl d85bf63bee

niemieckich lub francuskich. Jak w wielu takich przypadkach firmy z Polski będą musiały się zadowolić okruchami z pańskiego stołu. Za to będzie to silny instrument ograniczania zamówień poza Unią.

Innym doskonałym przykładem jest sprawa Centralnego Portu Komunikacyjnego i ewolucja przekazów ze strony dawnej opozycji, a obecnej koalicji. Od wrogości i zapowiedzi skasowania inwestycji do pełnego wsparcia i kontynuacji... tyle że już opóźnionej o kilka lat.

Można oczywiście przyjąć, że wszelkie te zapowiedzi, programy i strategie ulegną dość szybkiej weryfikacji. I następnym krokiem w rozwoju aspiracji Polaków będzie oczekiwanie nie tylko deklaracji, na które naród liczy, ale i realizacji.

Prawda zwycięży

Ta weryfikacja w ustroju demokratycznym w końcu następuje, a nawet w niedemokratycznym, ale nieco innymi metodami. I nastąpi, tak jak już nieraz następowała.

Tymczasem powinniśmy zastanowić się, jakie nowe paradygmaty przyjąć. Skoro bezrobocie nie ma już charakteru strukturalnego, mamy ładne drogi, Niemcy przestali opowiadać dowcipy o polnische Wirtschaft, a zachodnie media są wypełnione zachwytami nad rozwojem, siłą militarną i spójnością Polski, wydaje się, że możemy pogrzebać stare kompleksy już na dobre. I stare aspiracje – oczywiście nie zapominając, że jeśli pójdzie źle, mogą wrócić.

Po pierwsze, powinniśmy puste wizje zastąpić takimi samymi, ale prawdziwymi. Czyli jeśli mowa o broni jądrowej, należałoby rozpocząć analizy i debatę o jej pozyskaniu, a nie poprzestawać na jednozdaniowej deklaracji. Jeśli jakiś rok (bo raczej nie bieżący) ma być rokiem przełomu gospodarczego, to tego znakiem niech będzie reforma rynku kapitałowego czy – powiedzmy – nowa polityka inwestycyjna albo prorozwojowy projekt zmiany systemu podatkowego. Doktryna piastowska czy nacjonalizm gospodarczy ma też znaleźć jakieś odbicie w realnych działaniach.

Ale to nie wszystko. Po drugie, rozwój kraju na najbliższe dekady będzie co najmniej utrudniony, jeśli nie przyjmiemy nowych paradygmatów, aspiracji czy wręcz mitów. Na przykład zasady maksymalnej niezależności w sensie politycznym, gospodarczym i mentalnym. Nie chodzi o to, by wychodzić z Unii i odgradzać się murem, ale o to, by być odpornym na naciski, szantaże czy wstrzymywanie środków europejskich, czyli o przyjęcie doktryny realnej podmiotowości. Z tym powinna wiązać się zasada eliminacji obcych wpływów – na przykład poprzez skopiowanie francuskich reguł ładu medialnego albo ograniczenie finansowania NGO z zagranicy.

Czas też na myślenie o Polsce jako o mocarstwie – to jest kraju, który ma interesy za granicą i działa, by je tam realizować. Dotąd byliśmy raczej przedmiotem niż podmiotem takich działań. Stać nas na odwrócenie wektora, choćby na małą skalę. Nie chodzi o jakieś imperialistyczne mrzonki, ale o zwykłą opiekę nad interesami, co skutecznie robią też kraje mniejsze i biedniejsze od nas.

Ale najważniejszym paradygmatem na przyszłość jest ugruntowanie i rozwój przekonania o wspólnocie politycznej i kulturowej Polaków jako o najwyższej doczesnej wartości. To przekonanie już się odrodziło po dekadach smuty i braku poczucia własnej wartości. Trzeba je wzmacniać. W końcu jesteśmy jednym z najbardziej spójnych i najmniej zatrutych multikulturalizmem społeczeństw Europy. To potężny kapitał, którego nie wolno zmarnować. I – prawdopodobnie – w przyszłych dekadach będzie on więcej wart niż zasoby materialne.

NIE CHODZI O TO, BY WYCHODZIĆ Z UNII I ODGRADZAĆ SIĘ MUREM, ALE O TO, BY BYĆ ODPORNYM NA NACISKI, SZANTAŻE CZY WSTRZYMYWANIA ŚRODKÓW EUROPEJSKICH.

CZAS NA MYŚLENIE O POLSCE JAKO O MOCARSTWIE – TO JEST KRAJU, KTÓRY MA INTERESY ZA GRANICĄ I DZIAŁA, BY JE TAM REALIZOWAĆ.

eprasa.pl d85bf63bee

WOLA bez znaczenia

Fot. Adobe Stock

Marcin Darmas

Mija dwadzieścia lat od rozpisanego referendum, które odrzuciło przyjęcie Konstytucji Unii Europejskiej nad Sekwaną. Przeciwko dokumentowi Francuzi wyrazili się w sposób równie jednoznaczny, co masowy. Przypomnijmy, że na pytanie o poparcie dla ratyfikacji dokumentu negatywnie odpowiedziało aż 55% obywateli. Rozstrzygnięcie ludowe stało w diametralnej opozycji do połączonych sił elit intelektualnych i politycznych. Zarówno socjaliści, jak i gaullistowska prawica, ramię w ramię, kolegialnie, namawiali Francuzów do przyjęcia nowego traktatu. Jak obliczył ARCOM, francuski odpowiednik naszej Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, zwolennicy Konstytucji Unii Europejskiej mieli do dyspozycji aż 71% czasu antenowego. Nie licząc medialnej elity, której lwia część była i pozostaje otwarcie prounijna. Aby uzmysłowić nam skalę determinacji oddolnych ruchów przeciw konstytucji, warto zaznaczyć, że dwadzieścia lat temu nie miały obecnej mocy rezonowania komunikatory internetowe, a Rosja nie ingerowała w procesy wyborcze z taką ostentacją jak dziś. Nie było wtedy również TikToka... Pomimo tego Francuzi sprzeciwili się w wyraźny sposób pomysłom pogłębiania federalizacji Unii Europejskiej.

Dalsza historia jest dobrze znana. Dwa lata później, w 2007 roku, dokument w kosmetycznie zmienionej formie został ratyfikowany przez Zgromadzenie Narodowe. Wbrew woli suwerena wyrażonej dwa lata wcześniej. Podczas kampanii prezydenckiej kandydujący do najwyższego urzędu w Republice Nicolas Sarkozy stwierdził, że pragnie wziąć pod uwagę głosy Francuzów, i zaproponował „minitraktat", który miał być prostym i technicznym kompromisem. W rzeczywistości ratyfikowany przez parlament traktat lizboński to było nic innego, jak nowa wersja konstytucji z 2005 roku. Podstawowe i najważniejsze zapisy konstytucji można było odnaleźć słowo w słowo w traktacie lizbońskim.

eprasa.pl d85bf63bee

Dwie dekady później podstęp z 2007 r. wydaje się punktem wyjścia dla kryzysu demokracji, którego doświadczamy obecnie. Do tego stopnia, że większa część francuskiego społeczeństwa uważa dziś instytucje władzy za jawnie wrogie, błędne, a demokrację za iluzję.

Rycerskie rozstrzygnięcie

W kronikach historii Francji rocznica odrzuconego referendum z pewnością nie robi takiego wrażenia jak bitwa pod Austerlitz albo podpisanie traktatu wersalskiego. Niemniej mamy do czynienia z rozpoczęciem istotnego procesu politycznego. Zerwaniem z duchem V Republiki, która w nierozerwalny sposób łączy losy i decyzje ludu z władcą wybieranym w wyborach powszechnych. Prezydent stoi na straży nie tylko instytucji i konstytucji, ale przede wszystkim gwarantuje nienaruszalność suwerenności narodu.

Intencja Charles'a de Gaulle'a, twórcy konstytucji, była prosta: uchwalić dokument będący syntezą przeszłości i teraźniejszości, monarchii i republiki, tradycji i nowoczesności. Zaopatrzyć prezydenta w silne prerogatywy będące wyrazicielami woli powszechnej. Co oczywiste, generał z nieufnością patrzył na dziewiętnastowieczne praktyki III oraz IV Republiki, swoistej apoteozy parlamentarnych waśni. W dużej mierze, jak twierdził generał de Gaulle, przyczyniły się do wzrostu poparcia dla reżimów autorytarnych o niebo bardziej „sprawczych" i „sprawnych". Oddaliły naród od instytucji publicznych, od chęci wpływania na politykę centralną przez najmniejsze jednostki demokratyczne. Nowa Republika, wymyślona i skrojona na miarę przez de Gaulle'a, miała złączyć osobowo i symbolicznie prezydenta z ludem. Stąd wybory powszechne prezydenta oraz wprowadzona do konstytucji instytucja referendum. De Gaulle nie traktował referendum jako konsultacji społecznej, lecz jako plebiscyt i potwierdzenie słuszności decyzji politycznych. Przypomnijmy, że gdy w 1969 roku przegrał referendum dotyczące reformy senatu i regionalizacji, ustąpił ze stanowiska. Czy w dzisiejszych czasach tego rodzaju rycerski gest byłby do pomyślenia?

Dwadzieścia lat temu dokonało się we Francji pęknięcie demokratyczne, które w mimetycznym pędzie rozlało się na całą Europę. Polega ono na korygowaniu, omijaniu bądź – jak to było nad Loarą – nieuznawaniu woli suwerena. W zwichniętym rozumieniu intelektualista Jacques Attali proponował, aby plebiscyty uznawać przy przewadze sześćdziesięciu procent i powtarzać je trzykrotnie, aby upewnić się, że lud wyrażał się świadomie i bez ingerencji z zewnątrz. Wielu reprezentantów europejskiej elity ukąszonej myśleniem Attalego proponowało na przykład, aby referendum ws. brexitu rozpisać de novo. W Rumunii wprowadzono w życie „nowe standardy demokratyczne", powtarzając wybory prezydenckie. Werdykt z satysfakcją przyjęto, gdy konweniował establishmentowi. Elity europejskie rozdają fawory również nad Wisłą. „Wotum zaufania, jakie Polska otrzymała po wyborach parlamentarnych, zostało wyczerpane" – uznał niemiecki europoseł Moritz Körner, gdy polski suweren wybrał niedawno „nie tego" prezydenta.

DWADZIEŚCIA LAT TEMU DOKONAŁO SIĘ WE FRANCJI PĘKNIĘCIE DEMOKRATYCZNE, KTÓRE W MIMETYCZNYM PĘDZIE ROZLAŁO SIĘ NA CAŁĄ EUROPĘ.

Dostrzeganie niewidzialnych

Według Chantal Delsol remedium kryzysu demokracji leży w odejściu od jakobińskiej logiki państwa scentralizowanego i oddaniu władzy mniejszym jednostkom terytorialnym. W tym politycznym rozumowaniu suwerenność winna zostać oddana najniższym szczeblom rzeczypospolitej. Instancje centralne, owszem, mogą pomagać pomniejszym członkom wspólnoty politycznej, lecz jedynie w momencie, kiedy zostanie o to wyraźnie poproszona. Ideę tę myślicielka promuje od kilku dekad pod inspirującym impulsem polskiego doświadczenia Solidarności. Jak pisze: „Władza na poziomie państwa, regionu, a także na niższym poziomie, powinna spełniać dwa wymogi. Po pierwsze, nie powinna ona nigdy pozbawiać aktora jego własnych możliwości działania i to obojętne, czy ów aktor jest osobą, czy grupą. Praktycznie oznacza to, że w społeczeństwie głos należy oddać najpierw najsłabszym, najmniejszym aktorom. Po drugie, powinna ona pomagać osobie lub grupie wówczas, gdy okazują się one bezradne lub ich siły okażą się niewystarczające, aby osiągać pożądane przez nie, rozsądne cele".

Pojęcie pomocniczości opiera się na wizji człowieka wolnego i zarazem odpowiedzialnego za swój los przy poszanowaniu zasady grupowej przynależności do rodziny,

eprasa.pl d85bf63bee

stowarzyszeń i organizacji, szkół, uniwersytetów czy związków zawodowych.

Politolog Pierre Rosanvallon w rozprawie zatytułowanej „Dobry rząd" w dość istotnej mierze potwierdza powody i symptomy choroby demokracji liberalnej postawionej przez Delsol: „O naszych rządach można mówić, że są demokratyczne, choć nie jesteśmy rządzeni demokratycznie. Ten wielki niedosyt nasila współczesne rozczarowania, a także chaos". I dodaje, że palącą sprawą staje się jak najszybsze stworzenie „demokracji zaufania" oraz „demokracji przyswojenia" (appropriation). Społeczeństwa muszą na nowo określić swój stosunek do demokracji, która się od nich stopniowo odcięła. Trzeba wdrożyć system pozwalający obywatelom na „bezpośrednie praktykowanie funkcji demokratycznych, które do tej pory były monopolizowane przez władzę parlamentarną".

Według Rosanvallona współczesne demokracje liberalne wyżłobiły fosę między elitami politycznymi a społeczeństwem. Obarcza on winą za taki stan rzeczy „widmo cezaryzmu", które odcisnęło niezatarte piętno na prezydenckim systemie V Republiki. Czas zasypać ten rów, pobudzając wszystkie formy aktywności obywatelskiej. W innej rozprawie – „Parlament niewidocznych" – proponuje rzucić światło na „głębiny społeczeństwa", na tych, którzy czują się opuszczeni, zapomniani, źle zrozumiani i którzy są, jak w tytule, „niewidzialni", ponieważ nie znajdują uznania i nie mają narzędzi, by się zorganizować i upodmiotowić. Ta nieukształtowana masa, stanowiąca lwią część społeczeństwa, czerpie swą moc kontestacji z rozczarowania, które powoduje oddalanie się od instytucji państwa i przekazów medialnych. A to z kolei rodzi rozproszone i niezdefiniowane ruchy protestu. Wbrew temu, co można by pomyśleć, „niewidoczni" nie należą tylko do klas spauperyzowanych – inicjatywa ta, jak chciałby Rosanvallon, ma dotyczyć wszystkich warstw oraz klas społecznych.

SUWERENNOŚĆ WINNA ZOSTAĆ ODDANA NAJNIŻSZYM SZCZEBLOM RZECZYPOSPOLITEJ. INSTANCJE CENTRALNE, OWSZEM, MOGĄ POMAGAĆ POMNIEJSZYM CZŁONKOM WSPÓLNOTY POLITYCZNEJ, LECZ JEDYNIE W MOMENCIE, KIEDY ZOSTANIE O TO WYRAŹNIE POPROSZONA.

PALĄCĄ SPRAWĄ STAJE SIĘ JAK NAJSZYBSZE STWORZENIE „DEMOKRACJI ZAUFANIA" ORAZ „DEMOKRACJI PRZYSWOJENIA".

Jako remedium na kryzys reprezentacji francuski politolog proponuje, aby narody stały się potrójnym strażnikiem. W pierwszej odsłonie jako „naród uważny" (peuple vigilant), w drugiej jako „naród veto" (peuple veto), a na końcu jako „naród sędzia" (peuple juge). Przy tym Rosanvallon atakuje polityków, którzy dalecy są od typów idealnych rządzących: polityka nie jest dla nich ani powołaniem w sensie Weberowskim (politique par vocation), ani przestrzenią człowieka zaufania (l'homme de confiance). W pierwszym przypadku Weberowski polityk z powołania, również polityk profesjonalny, stanowił odpowiedź na dyletantyzm europejskich notabli. W drugim chodzi o odrodzenie modelu trustee, figury kardynalnej dla charakterystyki „dobrych rządów". Recepta Pierre'a Rosanvallona jest w swoich założeniach prosta: należy skrócić dystans między rządzącymi a rządzonymi, dążyć do „prawdziwej mowy" (le parler vrai) oraz rehabilitacji politycznego powołania.

Oby z niechęci „dużych" do „małych" i ich buntu nie spełniła się groteska Bertolda Brechta – skoro naród źle głosuje, należy go czym prędzej wymienić.

eprasa.pl d85bf63bee

KARUZELA Z BLOGERAMI

GRZEGORZ „GRZECHG" GOŁĘBIEWSKI

ZWYCIĘSKI OBÓZ POLSKI

Coś, co wydawało się jeszcze dwa tygodnie temu dość ulotne, nie do końca nawet realne, stało się faktem: udało się powstrzymać tyranię Donalda Tuska. Nie jest żadną przesadą użycie tu słowa „tyrania", ponieważ celem obecnego obozu władzy jest całkowita pacyfikacja opozycji i demokracji, i zastąpienie jej układem zamkniętym, w którym każdy, kto od tego układu odstaje lub mu się wymyka, będzie prześladowany lub wykluczony z życia społecznego. Gdyby te arcyważne wybory wygrał Rafał Trzaskowski, ruszyłaby z impetem pacyfikacja sądownictwa, a w ślad za tym przejęcie pełnej, autorytarnej kontroli nad państwem. Połowa społeczeństwa byłaby traktowana jak niedouczone pospólstwo, które poniosłoby zasłużoną karę za głosowanie na wroga systemu. Oczywiście, na pozór rządy Koalicji 13 grudnia zachowują jeszcze resztki demokratycznych reguł gry, ale przecież zaczęły się od siłowego przejęcia mediów publicznych i nielegalnego przejęcia Prokuratury Krajowej. Tylko zmiana w Waszyngtonie powstrzymała Tuska od dalszych autorytarnych zapędów, a teraz doszło zwycięstwo Karola Nawrockiego, które z pewnością utrudni dalszą dewastację państwa.

Donald Tusk roztoczył przed Polakami wizję walki z nielegalną migracją, zapowiedział repolonizację gospodarki, można rzec, że on i jego rząd owinęli się od stóp po szyję biało-czerwonymi flagami, strojąc się w obrońców narodu. Ale w relacjach z Brukselą czy Berlinem to był ten sam stary, uległy Tusk. Kompromitacja w sprawie udziału Polski w zbrojeniu państw Unii Europejskiej, kompromitacja w sprawie paktu migracyjnego, rezygnacja z reparacji i wreszcie koszmarna podróż premiera do Kijowa pokazują, jaka jest siła tego rządu i jaka jest obecna pozycja Polski w Europie. I dzieje się tak pomimo wręcz wzorowej polityki pacyfikacji demokracji i całkowitego zahamowania kluczowych dla kraju inwestycji. Tusk jest prymusem, a i tak dostaje cięgi od kanclerza Friedricha Merza. Nie ma żadnego poważania za oceanem, nie ma też najmniejszego posłuchu w Brukseli. I tu nie chodzi o to, że sam premier z KO robi coś źle, że się nie stara. Tu chodzi o to, że w europejskiej geografii politycznej nie ma miejsca na silną i suwerenną Polskę. Nie ma go ani w Berlinie, ani w Paryżu. Czasy, gdy Francja realnie postrzegała nasz kraj jako przeciwwagę dla Niemiec, bezpowrotnie minęły.

W kraju ekipa Tuska cały czas bazuje na europejskich kompleksach swojego elektoratu, wmawiając mu nieustannie, że owszem, oni są już być może dość europejscy, ale cała reszta to pospólstwo i zabobon. Postęp z Wilanowa i średniowiecze z Podlasia. Cały czas media głównego nurtu sączą przekaz, że dołączamy do tej prawdziwej, liberalnej Europy, ale kulą u nogi jest połowa narodu. Cały czas powielany jest mit, że wszystko, co mamy, zawdzięczamy Brukseli, podczas gdy obecna siła polskiej gospodarki to nade wszystko zasługa nas samych. Wystarczy tylko powiedzieć, że PKB Polski (980 miliardów dolarów) jest dziś niemal równe łącznemu PKB Bułgarii, Rumunii, Ukrainy, Białorusi, Estonii, Łotwy i Litwy (994 miliardy dolarów). Rzeczywiście po ośmiu latach rządów Prawa i Sprawiedliwości staliśmy się regionalną potęgą gospodarczą. Niewyobrażalne, by to miało trwać dalej, a na dodatek, by Polska miała jeszcze coś do powiedzenia w Europie. Zwycięstwo Karola Nawrockiego nie zmieni kursu obecnej władzy, ale powstrzyma z pewnością część jej destrukcyjnych działań. Kluczowe i strategiczne znaczenie dla przyszłości Polski ma odsunięcie od władzy Donalda Tuska. Jak najszybciej, może nie dziś, ale niekoniecznie dopiero w 2027 roku.

eprasa.pl d85bf63bee

KULTURA

Czytaj też:

Władysław Orkan. Głos wykluczonych przełomu XIX i XX wieku 44

Świat jest zawsze normalny 48

Rys. Adrian Urbanowicz

eprasa.pl d85bf63bee

– Nie można grać ciekawie i inteligentnie na bębnach, jeżeli jest się głupią osobą. Nie da rady. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jaka to jest ciężka robota – mówi Oskar Podolski.

NIGDY NIE CHCIAŁEM zrobić z siebie pajaca

– Daję z siebie wszystko. Nie ziewam w trakcie grania. Może widz jest pierwszy raz na koncercie albo czternastolatek zobaczy takiego gościa jak ja i stwierdzi, że też chce grać na perkusji? – mówi **Oskar Podolski**, muzyk, perkusista, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

– Jak zaczęła się Twoja przygoda z TikTokiem?

– Najprościej, jak się da. Postanowiłem, że będę wrzucał tam filmy, które publikowałem na innych platformach. Często było tak, że ludzie pytali mnie o TikToka. Zawsze mi się wydawało, że TikTok to pierdoły. Potem moje materiały zyskiwały „popularność" w tej niszy, publikuję je do teraz. Wrzucam film i to płynie.

– Perkusja przeżywa renesans w obszarze mediów społecznościowych?

– Nie zastanawiałem się nad tym. Myślę, że Tobie łatwiej to dostrzec. Z mojej perspektywy wygląda to tak, że publikuję materiały i robię swoje. Natomiast wiem, że są ludzie, którzy tworzą podobne treści do moich.

– Ty stawiasz na element pedagogiczny.

– Punktem startowym tego wszystkiego była pandemia.

– No to cofnijmy się o pięć lat. Jak wtedy było?

– Grałem z Eweliną Lisowską. Moja żona była w ciąży – jest zawodową tancerką. Ja na umowie o dzieło. Perspektywy kolejnych sezonów grania i nagle bum! Koniec. Zamknięte! A ja mam rozłożone ręce i nie wiem, co robić. Od razu pomyślałem o lekcjach online. To był moment, kiedy bardzo się wkurzyłem. Nie było możliwości, żebym nie miał nad czymś kontroli. A tu niespodzianka. Wtedy też zacząłem tworzyć treści do internetu, ale nigdy nie chciałem zrobić z siebie pajaca. Wówczas mało gadałem do kamery, robiłem raczej filmiki z naciskiem na perkusję i na nuty, które grałem. Potem się przełamałem i zacząłem mówić do kamery. I poszło.

JEŻELI JESTEŚ W CZYMŚ DOBRY, TO TWOIM OBOWIĄZKIEM JEST DZIELIĆ SIĘ TĄ WIEDZĄ.

– Jak przetrwałeś pandemię? Miałeś plan B?

– Znałeś muzyka, który miał wtedy plan B? Jeździłem wtedy na taryfie. Tam poznałem Kev Foxa. Grałem z nim potem wraz z Olafem

eprasa.pl d85bf63bee

Deriglasoffem i we dwóch graliśmy z Johnem Porterem.

– A potem Agnieszka Chylińska.
– Wszystko zaczyna się od kontaktów. Maćka Mąkę, który gra wiele lat u Agnieszki, poznałem w 2017 roku. Graliśmy wtedy na jakimś festiwalu transmitowanym w telewizji. Potem przywitaliśmy z Maćkiem świt na plaży [śmiech]. Fenomenalnie nam się rozmawiało i tak się dostaje robotę [śmiech]. Wygadałem ją! Z tego, co pamiętam, wiele o muzie nie rozmawialiśmy. Nie byłem nachalny. A potem kontakt nam się urwał. On był zabiegany, a ja robiłem swoje. Od tamtego czasu spotkaliśmy się raz, kiedy graliśmy w zastępstwie za kogoś. Pamiętam ten moment, gdy Maciek zadzwonił do mnie i zaproponował współpracę. Jechaliśmy z żoną samochodem, byliśmy w okolicach pl. Trzech Krzyży i wtedy zadzwonił telefon. Maciek zaproponował, czy mógłbym przyjechać do nich na próbę i luźno pograć. Prosił też o wysłanie filmików. I pojechałem na próbę. Mikrofony były już ustawione i zaczęliśmy grać z Agą. Mówiła, że mnie kojarzy z „Mam Talent!", bo grałem tam na wiadrach.

– Naprawdę?
– 2014 rok. Na wiadrach grałem przez 10 lat. Występowałem też na ulicach Berlina. Mieszkałem w vanie.

– Kiedy zacząłeś granie na perkusji?
– Na początku grałem na wiadrach po kiszonej kapuście. A wszystko zaczęło się przez przypadek na koloniach. Potem obejrzałem filmik z gościem, który robił to zjawiskowo, i się tym zainspirowałem.

– Byłbyś w stanie do tego wrócić?
– Oczywiście, że tak. Tęsknię za tym. Najlepiej grało mi się w Berlinie.

– Co graliście z Agnieszką na próbie?
– Klimaty w stylu Led Zeppelin. Na takich próbach nagrywamy pomysły, które potem ujrzą światło dzienne.

– „Kiedyś do Ciebie wrócę" powstało na próbie?
– Nie. To jest numer, który świetnie nadaje się, żeby lecieć w tle, gdy Polacy piją wódkę. W Polsce piosenka sprawdza się wtedy, jeżeli dobrze się jej słucha do picia wódki. Ale nie wolno pić alkoholu [śmiech].

– Przez tę piosenkę wyznajesz zasadę mniej znaczy więcej?
– Zdecydowanie. Najtrudniej jest zagrać prosty rytm. Musi być puls i trzeba to wytrzymać.

AGNIESZKA CHYLIŃSKA SIĘ NIE ROZDRABNIA. DLATEGO JEST W TYM MIEJSCU, W KTÓRYM JEST.

– Jak Twoje ego mieści się za bębnami?
– Moje ego nasyciło się, gdy grałem na wiadrach. Wtedy miałem na sobie wzrok ludzi. Grałem wtedy z bratem mojego starego. Między nimi jest 14 lat różnicy, a pomiędzy mną a nim – 12. Mój tata grał na basie, jego brat śpiewał i grał na gitarze. Mieliśmy wtedy punkrockowy zespół.

– Skąd jesteś?
– Ze Śląska, z Bytomia. To są ciężkie klimaty.

Oskar Podolski

na co dzień uczy grać na perkusji oraz jest członkiem zespołu Agnieszki Chylińskiej, z którym nagrał diamentową płytę „Never Ending Sorry". Zaczynał od grania w garażu w wieku 11 lat, a teraz dzieli się swoją wiedzą, publikując darmowe lekcje na swoim kanale na YouTubie. Nagrał kilka kursów, z których skorzystało już ponad 500 osób, oraz organizuje warsztaty perkusyjne w Polsce. Cały czas się rozwija, biorąc indywidualne lekcje u zagranicznych i polskich perkusistów, a jego misją jest to, aby każdy, kto zaczyna przygodę z graniem na perkusji, mógł wspierać się jego materiałami edukacyjnymi.

– Dlaczego polskie kapele metalowe nie mają luzu i lekkości w graniu w przeciwieństwie do swoich odpowiedników w USA.
– U nas zapomina się o synkopie. Wszystko jest na raz. Warto brać z nich przykład, jeżeli chodzi o luźne podejście do grania.

– Z rapem jest tak samo...
– Ciężko jest im zrobić coś w triolach. Jest bardzo proste podejście do rytmu. Czasami warto otworzyć się na nowe rzeczy.

– Grałeś na weselach?
– Chyba nie.

– Ile grasz koncertów rocznie?
– Około 80.

– I wciąż ćwiczysz?
– Zgadza się! Dzień zaczynam od ćwiczenia na pianinie. To świetnie rozwija mózg.

– Jesteś samoukiem?
– W dużej mierze tak. Byłem na studiach muzycznych dwa lata, ale stamtąd uciekłem. Wcześniej przygotowałem się do egzaminu u pana Mirosława Muzykanta.

eprasa.pl d85bf63bee

U jego żony natomiast uczyłem się grać na fortepianie. Potem to wszystko połączyłem, bo zostało mi to dobrze wytłumaczone. Zrozumiałem wtedy matematykę. Zdałem maturę, którą wcześniej odpuściłem, i poszedłem na studia. Kiedy posiedziałem tam na zajęciach, to stwierdziłem, że marnuję czas. Chciałem ruszyć w świat, robić show, a nie tkwić w strefie komfortu. Musiałem ćwiczyć grę na perkusji, na której kładłem ręczniki, żebym nikomu nie przeszkadzał. I ćwiczyłem w ekstremalnych porach – wcześnie rano i późno w nocy. Praca muzyka to jest ogromne poświęcenie. Chciałem zrobić wszystko, żeby żyć z muzyki.

NA WIADRACH GRAŁEM PRZEZ 10 LAT. WYSTĘPOWAŁEM NA ULICACH BERLINA. MIESZKAŁEM W VANIE.

– Ty żyjesz muzyką.
– Zgadza się. Nie żyję z projektu na projekt. Daję z siebie wszystko. Nie ziewam w trakcie grania. Może widz jest pierwszy raz na koncercie albo czternastolatek zobaczy takiego gościa jak ja i stwierdzi, że też chce grać na perkusji?

– Zdarzyło Ci się grać po alkoholu?
– Nie mogę grać po alkoholu, byłbym nieskoncentrowany. Miałem kilka sytuacji, że wypiłem szklaneczkę i czułem totalny dyskomfort. Po tym stwierdziłem, że koniec takiego grania. Od zeszłego roku nie piję w ogóle alkoholu.

– Czy dorosła osoba może zacząć naukę gry na perkusji?
– Myślę, że tak. Zależy, ile masz na to przestrzeni w ciągu dnia.

– Co sądzisz o perkusji elektronicznej?
– Spoko pomysł. Tylko trzeba zwrócić uwagę na dobry sprzęt.

– Twój największy koncert?
– Ciężko powiedzieć, ale było tego dużo. Torwar i Ergo Arena to już jest za mało.

– Klub czy stadion?
– Klub. Kiedy gramy koncerty na Wyspach, w Holandii czy w Belgii, to jest superklimat.

– Jak się gra utwory O.N.A. na koncertach?
– To świetne przeżycie. U mnie w domu grało O.N.A. Wiem, że wiele osób chciałoby reaktywacji tego zespołu, ale to się nigdy nie wydarzy. Szkoda.

– Jak łączysz pewność siebie ze skromnością?
– Trzeba mieć doświadczenie życiowe. Na bank okazja spotkała się z przygotowaniem.

– Wcześniej wspominałeś, że Twoja żona jest tancerką. Gdzie obecnie tańczy?
– Kinga ma agencję taneczną „Flame Project". Ma swoją linię ubrań. Studiowała na Broadwayu w Nowym Jorku przez rok.

NAJTRUDNIEJ JEST ZAGRAĆ PROSTY RYTM. MUSI BYĆ PULS I TRZEBA TO WYTRZYMAĆ.

– Miłość w rytmie...
– ...różnorodnym. A ja przed bębnami tańczyłem breakdance.

– A kariera rapera?
– To nuda.

– W jakiej stylistyce muzycznej nie czujesz się dobrze?
– W jazzowej. To nie pasuje do mojej ekspresji. Lubię wszelaką muzykę, ale co do grania jestem określony.

– Czy gra na perkusji jest bardziej pracą fizyczną niż umysłową?
– Jedno i drugie. Nie można grać ciekawie i inteligentnie na bębnach, jeżeli jest się głupią osobą. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jaka to jest ciężka robota. Motywowało mnie do lepszej gry twierdzenie, że gra na perkusji jest infantylna.

– Ile zagranych i wyćwiczonych godzin masz na swoim perkusyjnym liczniku?
– Większość życia.

– Przed koncertem jesteś najedzony czy głodny?
– Nie objadam się.

– Masz jeszcze ochotę na granie w innym zespole niż z Chylińską?
– Szczerze – nie mam z kim grać takiej muzyki jak z Agą. Zawsze chciałem z nią grać. Ona jest marką. Ona się nie rozdrabnia. Dlatego jest w tym miejscu, w którym jest.

– Zdarzyło Ci się uczyć gry na perkusji aktorów?
– Tak. Wojtka Mecwaldowskiego do serialu. A poza tym polecam moje kursy online [śmiech]. Jeżeli jesteś w czymś dobry, to twoim obowiązkiem jest dzielić się tą wiedzą.

– Gdyby nie perkusja, to...?
– Tylko perkusja. Chociaż... może śpiewanie? O! Muszę wrócić do lekcji śpiewu, bo to bardzo rozwija.

– A ja po naszej rozmowie muszę wrócić do gry na perkusji!
– Musisz, musisz [śmiech]!

eprasa.pl d85bf63bee

LITERATURA

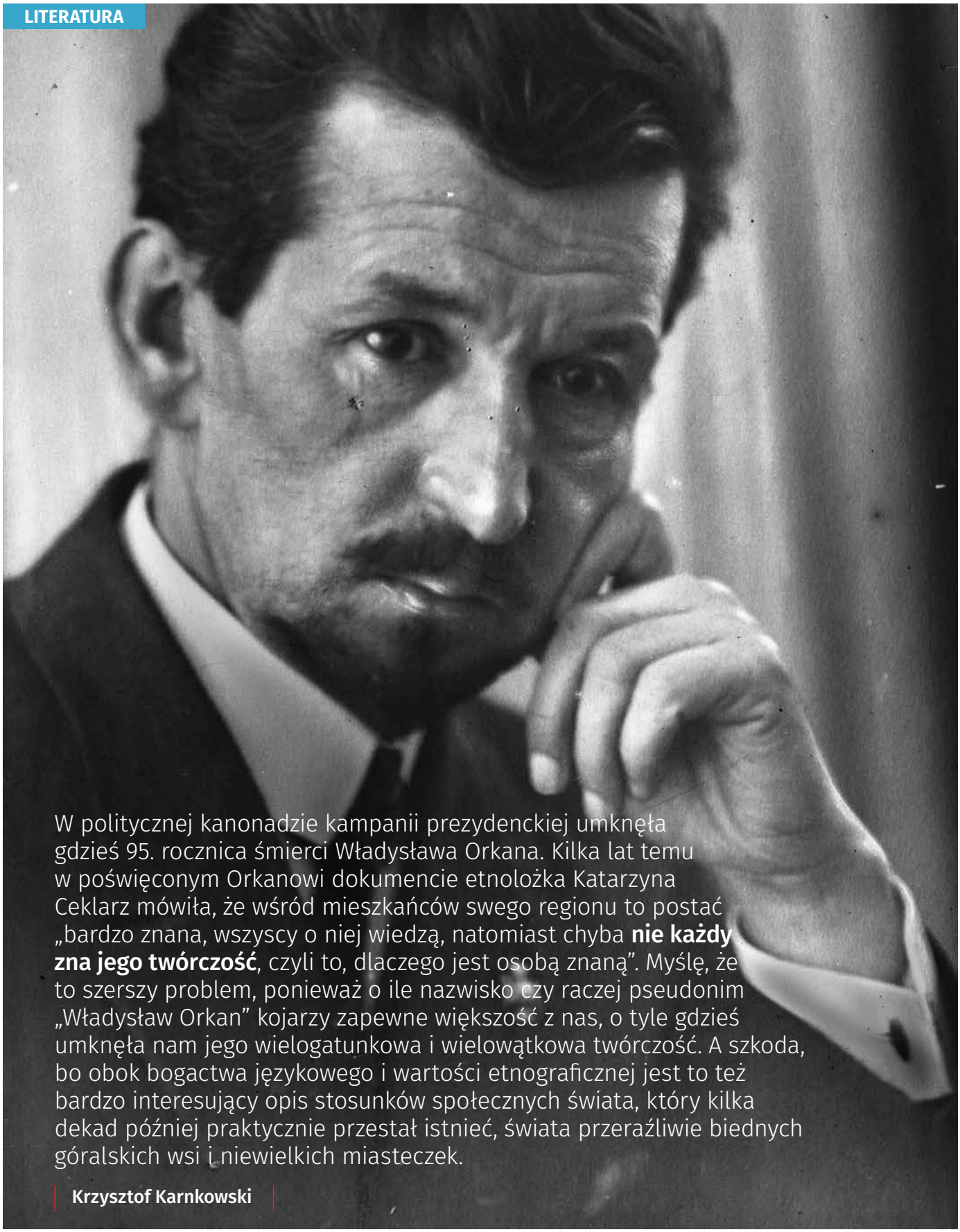

W politycznej kanonadzie kampanii prezydenckiej umknęła gdzieś 95. rocznica śmierci Władysława Orkana. Kilka lat temu w poświęconym Orkanowi dokumencie etnolożka Katarzyna Ceklarz mówiła, że wśród mieszkańców swego regionu to postać „bardzo znana, wszyscy o niej wiedzą, natomiast chyba **nie każdy zna jego twórczość**, czyli to, dlaczego jest osobą znaną". Myślę, że to szerszy problem, ponieważ o ile nazwisko czy raczej pseudonim „Władysław Orkan" kojarzy zapewne większość z nas, o tyle gdzieś umknęła nam jego wielogatunkowa i wielowątkowa twórczość. A szkoda, bo obok bogactwa językowego i wartości etnograficznej jest to też bardzo interesujący opis stosunków społecznych świata, który kilka dekad później praktycznie przestał istnieć, świata przeraźliwie biednych góralskich wsi i niewielkich miasteczek.

Krzysztof Karnkowski

Fot. ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego

eprasa.pl d85bf63bee

Władysław Orkan

Głos wykluczonych przełomu XIX i XX wieku

Na warszawskim Mokotowie, dokładniej zaś w jego części zwanej od posiadającego tam dwa pałace (w tym słynną Królikarnię) księcia Ksawerego Pusłowskiego „Ksawerowem", znajdziemy kilka ulic biorących swoje nazwy od lokalizacji umiejscowionych w Małopolsce i przynależnym do niej Podhalu. Mamy więc ulice Bieżanowską, Bukowińską i chyba najbardziej znaną z nich Wielicką. Przy tej ulicy znajdowała się do lat 90. mleczarnia, dziś zabudowana przez nowy, potężny budynek mieszkaniowy. Do niego, od strony południowej, przyklejona jest niewielka, zaciszna, zakręcająca z zachodu na północ uliczka Władysława Orkana. Słusznie, bo przecież to do Małopolski należą wszystkie miejsca, z którymi w czasach pokoju Orkan był powiązany – jego rodzinne Niedźwiedź i Poręba Wielka czy czasowo zamieszkiwane przez niego Zakopane. I oczywiście Kraków, w którym próbował się uczyć i w którym stawiał pierwsze kroki zarówno jako literat, jak i legionista. I tak przez topografię Warszawy weszliśmy w losy jednego z ważniejszych twórców początku ubiegłego stulecia. Dlaczego tak? Bo tą drogą zainteresowałem się twórczością i postacią Orkana.

Z biedy

Urodzony w 1875 r. jako Franciszek Ksawery Smaciarz, a piszący jako Władysław Orkan literat utożsamiał się całe życie po pierwsze – z Polską, po drugie – z Podhalem (do którego, inaczej niż przyjmuje się to dziś, Orkan zaliczał Gorce), przy czym przynależność góralską uważał za formę polskości. Z niektórych jego pism wynika wręcz, że chodziło mu po głowie (trochę jako plan, a trochę jako zmarnowana już szansa) rozszerzenie zasięgu polskości poprzez stworzenie wspólnoty górali zarówno polskich, jak i słowackich, tak niewiele się od tych pierwszych różniących. Smaciarz urodził się i większość życia spędził w Porębie Wielkiej w powiecie limanowskim, gdzie powstała duża część jego dzieł. Tam też, w jego dawnym domu, Orkanówce, znajduje się dziś poświęcone pisarzowi muzeum.
W sąsiednim Niedźwiedziu został ochrzczony jako Franciszek Salezy i tam poznał po latach swoją pierwszą żonę. Edukację pobierał najpierw w Szczyrzycu, w szkole prowadzonej przez cystersów, a później w Krakowie. Tam, wpadłszy w wir życia literackiego, próby zdobycia matury zakończył niepowodzeniem, jednak do rodzinnej miejscowości wracał już jako literat mający na koncie pierwsze sukcesy. Dzięki wsparciu przyjaciół pod sam koniec XIX wieku podróżował po Europie (Austria, Szwajcaria, Włochy), co stanowiło dla niego istotną inspirację w pisaniu i myśli społecznej. Duże wrażenie robiła na nim znakomita organizacja szwajcarskich wsi, tak różna od znanej mu dobrze, przytłaczającej i determinującej jego twórczość podhalańskiej, chłopskiej nędzy.

Dramaty światowe i własne

Przełom wieków zastał go we Lwowie, gdzie współpracował z polską prasą, wydawał powieści, ale też budował zręby porozumienia polsko-ukraińskiego, nawiązując przyjaźnie między innymi z Iwanem Franką i tłumacząc na polski wiersze młodych ukraińskojęzycznych poetów. To wątek, który dziś mógłby być inspiracją w czasach załamywania się nie najgorszych relacji obu państw w cieniu przedłużającej się wojny za naszą wschodnią granicą. Później wrócił w swe strony, by w 1909 roku w Niedźwiedziu wziąć ślub. Z żoną Marią pomieszkiwał trochę w Porębie, a trochę w Zakopanem, gdzie wpadał niestety w alkoholowe ciągi. W tym czasie urodziła mu się córka Zofia, żona natomiast już trzy lata po ślubie zmarła. Tu zresztą widać szczególnie ujmujący dla mnie tragizm losów Orkana – z Marią nawet nie mógł się pożegnać, nie brał też udziału w jej pogrzebie, przebywając w tym czasie w szpitalu. Ożenił się po raz drugi z Bronisławą Folejewską. Później dopadła go polska historia: walczył w legionach, dbając o utrwalenie kulturowego dziedzictwa tej formacji; następnie został żołnierzem pułku Strzelców Podhalańskich, a związki

> ORKAN TWORZYŁ WIERSZE BARDZO CZĘSTO PRZEPEŁNIONE PESYMIZMEM I EGZYSTENCJALNYMI NIEPOKOJAMI.

eprasa.pl d85bf63bee

z polskim wojskiem utrzymywał do swojej śmierci. Zmarł w 1930 roku i tu znów powraca wspomniany przeze mnie tragizm: wiosną 1930 roku Orkan otrzymał niepokojące wieści o pogarszającym się stanie zdrowia swojej ukochanej córki Zofii, która od dłuższego czasu zmagała się z gruźlicą. Zaniepokojony natychmiast udał się z Poręby Wielkiej do Krakowa, by być przy niej w tych trudnych chwilach. Po przybyciu do Krakowa Orkan nie zastał żony w mieszkaniu przy ulicy Brackiej. Wyczerpanie fizyczne i emocjonalne spowodowane troską o córkę oraz ogólnym osłabieniem organizmu doprowadziły do wylewu krwi do mózgu. Zmarł kilka godzin później, 14 maja 1930 roku. Z kolei córka odeszła z tego świata dwa tygodnie później, nieświadoma faktu, że jest sierotą. Pisarz pochowany został w Krakowie, a po roku, trumnę przeniesiono do Zakopanego. Oba te wydarzenia były manifestacjami wielkiego szacunku dla zmarłego, dość wspomnieć, że pociąg przewożący jego szczątki zatrzymywał się na każdej stacji.

Przesłanie

W latach 20. mocno zaangażował się w działalność Związku Podhalan i uważany był za jego nieformalnego lidera. W wystąpieniach i listach pisanych do swoich krajan pozostawił po sobie przesłanie, które choć archaiczne w formie, w treści jest zdumiewająco aktualne. We „Wskazaniach dla synów Podhala" pisał między innymi: „Masz być lekarzem, adwokatem, sędzią – staraj się zejść do dna nędzy ludzkiej, nie sądź win społecznych w jednostce, bądź wrogiem ran ciała i duszy, tęp je żarliwie, uzdrawiaj. A będziesz inżynierem, budowniczym – nie buduj mostów w Chinach, lecz oddaj energię i zdolności swoje Ojczyźnie – miej ambicję ziemię swoją zabudować i zmożnić". Słowa te bardzo mocno współbrzmią z naszymi dzisiejszymi aspiracjami, równocześnie stanowiąc zaprzeczenie tak często przypominanej ostatnio pedagogiki III RP, która najzdolniejsze jednostki wypychała na imigrację, taktując ją jako optymalny model kariery.

> UZNANY ZA GŁOS LUDU ZA SWOJĄ MISJĘ PRZYJĄŁ UKAZANIE PRAWDZIWEJ, NIE WYGŁADZONEJ NA POTRZEBY MIEJSKIEJ INTELIGENCJI SYTUACJI.

Głos wykluczonych

Orkan tworzył wiersze bardzo często przepełnione pesymizmem i egzystencjalnymi niepokojami. Z drugiej jednak strony pełne barwnych opisów i hołdu dla górskiej przyrody, które chwilę potem w jego powieściach zderzą się z brutalnym opisem dramatycznych ludzkich losów. Jego książki jako pierwsze pokazały wieś jako pole konfliktu społecznego i miejsce rozwarstwienia, w którym mamy i bogatych, i próbujących utrzymać się na powierzchni, i wreszcie kompletnie przegranych, skazanych na łaskę, a częściej niełaskę pozostałych: bezdomnych, komorników (czyli chłopów bez ziemi), ludzi z ówczesnego marginesu, dziś powiedzielibyśmy – wykluczonych. Czasem zdarzało mu się odmalowywać z pewnym humorem zwykłe obrazki z życia wsi, czasem tworzył historię dramatyczne, pełne zimna, głodu i zarazy, czym zdarzało mu się porywać, ale też szokować współczesnych. Z napisanych przez niego książek warto skupić się na debiucie – „Komornikach" z 1990 r., pokazujących losy mieszkańców jednej z podhalańskich wiosek, a także na „Drzewiej", dziele niesamowitym, gęstym, stanowiącym nasycony poezją opis dramatycznej walki z żywiołami, duchami i starymi bogami wkraczających dopiero w dziki świat pierwszych ludzi. W tej opowieści, mającej w sobie coś pokrewnego z proto-horrorami Stefana Grabińskiego, śledzimy pośród dzikiej i pięknej przyrody walkę dwóch braci o kobietę, starych bóstw z Bogiem chrześcijańskim, przyrody z nadchodzącym nowym. „Drzewiej" to jednak raczej wyjątek w twórczości, na ogół trzymającej się tu i teraz. Orkan początkowo za całe zło opisywanego świata winił biedę, by później skłonić się ku nigdy w pełni niesformułowanej własnej „teorii socjalnej" mówiącej o nierówności dusz ludzkich. Pisarz nie uciekł jak jego przyjaciele w młodopolskie fantazje, trzymając się twardo ziemi. Nie wchodził w płytkie opisy folklorystyczne, wówczas dość popularne, opowiadał natomiast o wydarzeniach z samego dna w sposób bliższy piszącym trochę wcześniej pozytywistom. Uznany za głos ludu za swoją misję przyjął ukazanie prawdziwej, nie wygładzonej na potrzeby miejskiej inteligencji sytuacji. Dziś, gdy opisy położenia dawnych chłopów podporządkowane są modzie i bieżącej ideologii, warto sięgać do tego źródła. Warto też przyglądać się szerzej twórczości, w której wciąż można znaleźć wiele aktualnej życiowej wrażliwości i mądrości.

eprasa.pl d85bf63bee

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Tryumf prawicy

Wybory prezydenckie, jak wiadomo, wygrał Karol Nawrocki, co okazało się szokiem dla rządzących. Jednocześnie to ogromny sukces całej prawicy, która – jak rzadko – zjednoczyła się pod hasłem „byle nie Trzaskowski". Co sprawiło, że skazywany na pożarcie kandydat obywatelski, popierany przez tak wiele środowisk (w tym Solidarność) wygrał ten nierówny bój?

Rzadko to robię, ale tym razem – z pewną satysfakcją – mogę zapytać: a nie mówiłem? Dokładnie rok temu, gdy absolutnie nikt w to nie wierzył, nagrałem komentarz na moim kanale na YouTubie, w którym wskazałem, że Karol Nawrocki może zostać kandydatem PiS w wyborach prezydenckich, a nawet je wygrać. Całość zobrazowałem grafiką, na której zapytałem „on będzie prezydentem?".

W przeciwieństwie więc do wielu polityków PiS i komentatorów, którzy teraz pieją z zachwytu nad prezydentem elektem, choć jeszcze niedawno wieszali na nim psy (niektórzy zaczęli krytykę już w niedzielę o godz. 21!), mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że wygrana Karola Nawrockiego mnie nie zaskoczyła. Co oczywiście nie oznacza, że nie było o nią trudno. Było i to ekstremalnie.

Na szczęście, na ostatniej prostej, w sposób niezwykły zmobilizowały się praktycznie wszystkie środowiska szeroko pojętej prawicy. Nawet jeśli nie głosowały one za Karolem Nawrockim, to głosowały (w sporej części) przeciwko Rafałowi Trzaskowskiemu. Rzecz jasna, swój spory wkład w wygraną mają tu przede wszystkim Sławomir Mentzen i Grzegorz Braun, ale nie tylko oni.

Przyczyn wygranej, jak sądzę, było wiele i pewnie nie sposób ich wszystkich wymienić. Wydaje mi się, że do najważniejszych należały (kolejność przypadkowa): chęć powstrzymania domknięcia systemu (czyt. obozu rządzącego); zatrzymanie skrętu w lewo oraz niebezpiecznych pomysłów (np. cenzury ukrytej za „mową nienawiści"); przeciwstawienie się „elitom"; brudna i brutalna kampania, której celem było zniszczenie Karola Nawrockiego; ogromny sukces Kanału Zero i realne przebicie baniek informacyjnych; gigantyczna i oddolna praca w internecie czy rozczarowanie aktualną sytuacją polityczno-gospodarczą oraz koalicją rządzącą, która nie spełnia właściwie żadnych obietnic.

Nie ma się jednak, co łudzić. Wygrana Karola Nawrockiego to niezwykle ważny, ale jednocześnie dopiero pierwszy krok. Koalicja trwa, choć jest mocno poobijana. Premier Donald Tusk zresztą już zdążył wypowiedzieć wojnę prezydentowi elektowi. Tyle tylko że Karol Nawrocki nie będzie Andrzejem Dudą 2.0. Stawiam tezę, że będzie on nie tylko dużo bardziej twardy i zdeterminowany, ale również niezależny i niesterowalny w swoich działaniach. I dobrze. W efekcie, w koalicji rządzącej wielu jeszcze zatęskni za urzędującym prezydentem. Nie inaczej będzie również po stronie PiS. Na razie cieszmy się jednak, że Rafał Trzaskowski nie został prezydentem Polski.

eprasa.pl d85bf63bee

Świat jest zawsze normalny

– O rzeczywistości mam marne zdanie. Żyję raczej na marginesie społecznym. Mam chatę, sąsiadów, których znam, których lubię i którzy mnie lubią. Za moim domem rosną tysiącletnie dęby, gdzie mogę iść na spacer. Niedaleko płynie Brda, przy której się urodziłem, na ulicy Krakowskiej. Środki na utrzymanie i jakieś jedzenie dostaję z MOPS-u – mówi **Wiktor Żwikiewicz**, jeden z najważniejszych polskich pisarzy science fiction, w rozmowie z **Jarosławem Jakubowskim.**

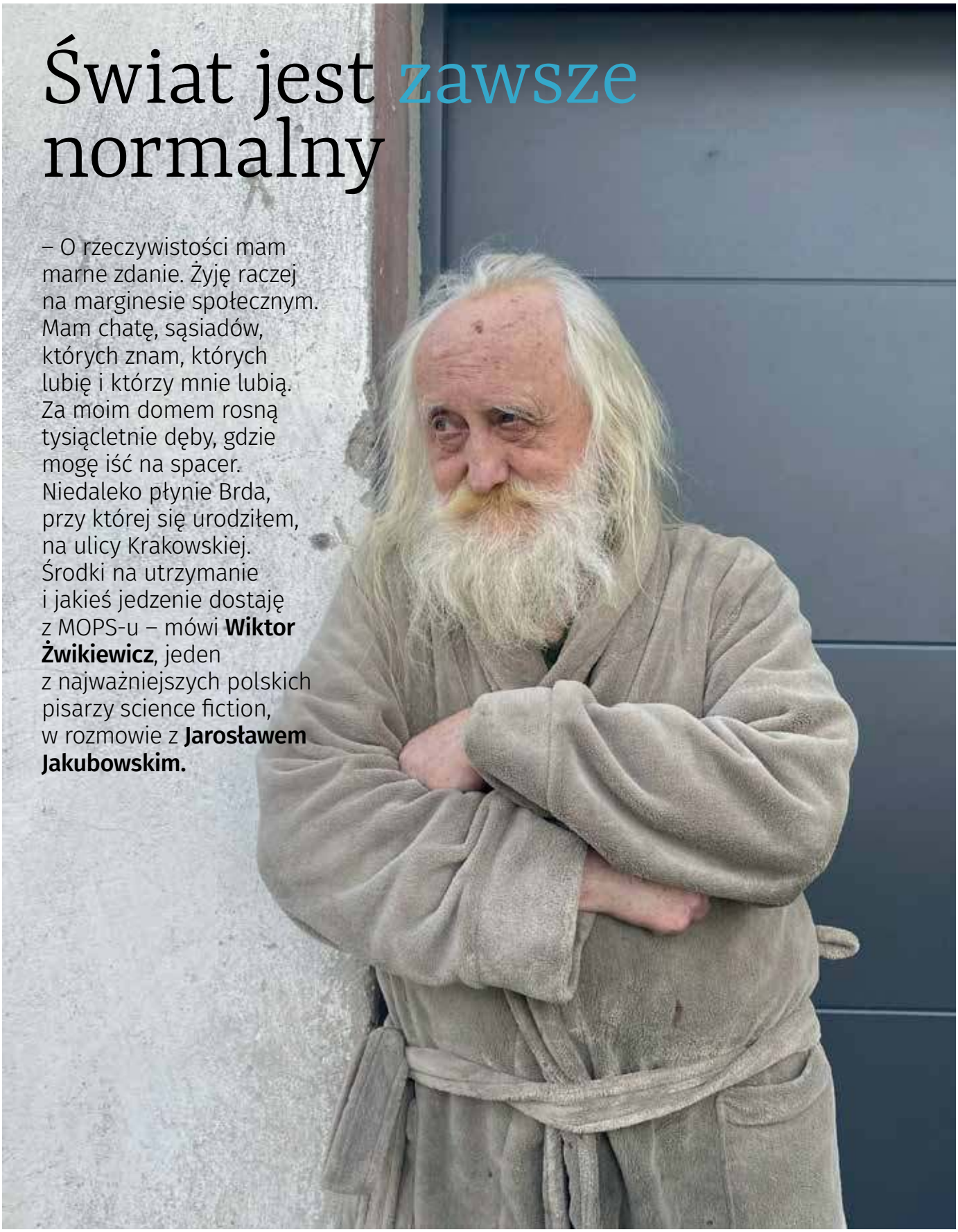

Fot. arch.

eprasa.pl d85bf63bee

– Poczynając od lat 70., przez lata 80., Pana nazwisko było wymieniane obok największych twórców polskiej science fiction: Janusza Zajdla, Adama Wiśniewskiego-Snerga. Nagle jednak zarzucił Pan pisanie. Dlaczego?

– To nie ja zarzuciłem pisanie, ale pisanie zarzuciło mnie, na manowce. Wykoleiłem się życiowo. Źle zainwestowałem swoje pragnienia realizowania siebie. Założyłem z przyjacielem potężną, jak na tamte czasy, firmę. Robiliśmy programy komputerowe, przede wszystkim gry, które miały być takim samym science fiction, jakie pisałem. Ale to był czas tej straszliwej inflacji, tych wszystkich polskich przełomów i zbankrutowaliśmy. Przy okazji nastąpiło bankructwo życia osobistego i tak dalej, bo to zawsze jedno drugiemu towarzyszy.

– Gdzieś przeczytałem, że po prostu wyszedł Pan z domu, zamknął za sobą drzwi i stał się człowiekiem bezdomnym. Jak długo to trwało?

– Około dziesięciu lat.

– I te dziesięć lat Pan się po prostu błąkał po – nie wiem – noclegowniach?

– Nie tylko tak. Wszędzie, gdzie tylko popadło. No i może by się tak toczyło, ale kiedyś – już ciemno było – usłyszałem: „Wiktor, Wiktor!". Wołanie. Wylazłem z tej piwnicy, patrzę, a tam na bramie, bo tam było ogrodzenie, siedzi obecny profesor filozofii Marek Kazimierz Siwiec. Siedzi na niej, a za nią stoi jeszcze paru innych. Do dzisiaj nie zapytałem właściwie, jakim cudem oni mnie znaleźli. No, ale namierzyli mnie i stamtąd wyciągnęli. Zmusili właściwie do przyjęcia jakiejś forsy, do wynajęcia jakiejś chaty. Zmusili do pójścia do kliniki psychiatrycznej, bo byłem w totalnym stresie, totalnie wyobcowany ze świata.

– Wrócił Pan między żywych.

– Wróciłem do życia. To było jakieś dwadzieścia lat temu. Wiele się później działo... Aż w końcu dostałem tutaj tę chatę i kiedy mieszkałem już jakiś miesiąc, nagle ktoś zapukał do drzwi. Otworzyłem, patrzę, a tam takie śliczne dwie dziewczyny. To były moje córeczki, których nie widziałem prawie dwadzieścia lat. Jedna z nich wpadła na pomysł, żeby w końcu poszukać ojca. No i znalazły mnie. Gapiliśmy się na siebie przez pięć sekund, potem rzuciliśmy sobie w ramiona, zaczęliśmy ściskać. No i od tego czasu jestem totalnie happy.

– Jak to jest, że człowiek u szczytu powodzenia, który mógł żyć z pisania, bo miał nakłady, popularność, nazwisko, nagle „odpada"?

– Wie Pan, jak to było? Trafiłem na ten zły, paskudny czas transformacji.

– Skończyły się te wielkie nakłady?

– Nie, one jeszcze były, ale powiem Panu, jak to wyglądało z moją ostatnią wydaną powieścią „Delirium w Tharsys". Jakieś 100 tysięcy czy 200 tysięcy tego wydali. Podpisałem umowę naprawdę na duże pieniądze, a że nie piłem, nie marnowałem pieniędzy, to po prostu mogłem sobie za nie spokojnie żyć, usiąść do roboty i napisać kolejną książkę, założyć firmę komputerową. Tylko że to wynikało z umowy w momencie, kiedy ją podpisywałem. A kiedy książka została wydana i dostałem pieniądze, to chciało mi się płakać, bo pracowałem nad tym parę lat. Pojechałem wtedy do Warszawy, zaprosiłem Maćka Parowskiego, Marka Oramusa, paru przyjaciół z Warszawy do „Bazyliszka" i zjedliśmy kolację. To była kolacja z prosiaczkiem i z dobrą whisky. Wydałem na nią wszystko, co na tej powieści zarobiłem. Jedna kolacja z przyjaciółmi. A na życie już nie było.

MNIE TAK NAPRAWDĘ ROZMOWY Z MOIMI RÓWIEŚNIKAMI NIE BAWIĄ. BOJĘ SIĘ Z NIMI ROZMAWIAĆ O TYM SAMYM, CO I TAK WIEMY.

– Teraz, po tych doświadczeniach, czuje się Pan normalnym członkiem społeczeństwa, obywatelem pełną gębą?

– Nie, nie, broń Boże, nie jestem obywatelem pełną gębą. Zresztą o rzeczywistości mam marne zdanie. Żyję raczej na marginesie społecznym. Mam chatę, sąsiadów, których znam, których lubię i którzy mnie lubią. Za moim domem rosną tysiącletnie dęby, gdzie mogę iść na spacer. Niedaleko płynie Brda, przy której się urodziłem, na ulicy Krakowskiej. Środki na utrzymanie i jakieś jedzenie dostaję z MOPS-u.

– A wsparcie ze strony środowiska, związków twórczych?

– Mam sympatyczne kontakty z tymi ludźmi. Jeśli mi zabraknie na prąd, a zawsze brakuje, bo to idzie w górę, to po prostu mogę zadzwonić, powiedzieć: „Marku czy Krzysiu, pomóż, bo nie wyrabiam", no i pomogą.

eprasa.pl d85bf63bee

– Utrzymuje Pan kontakt ze światem literatury science fiction?

– Tak, tak, jeżdżę na przykład na taki konwent do Nidzicy. Mój przyjaciel Marek Żelkowski, pisarz i dziennikarz, zabiera moje zwłoki i dowozi je samochodem. Wpadam tam, bo jeszcze się trzymam na nogach.

– A kiedy już Pan tam wpada, to traktują Pana jak żywą legendę?

– Mnie tak naprawdę rozmowy z moimi rówieśnikami nie bawią. Boję się z nimi rozmawiać o tym samym, co i tak wiemy. Natomiast młodzi ludzie bardzo mnie fascynują. Lubię mieć pojęcie o tym, co się dzieje w świecie młodzieży. Opowiem Panu anegdotkę à propos młodych ludzi. Z tymi właśnie przyjaciółmi, z profesorami filozofii, od czasu do czasu spotykaliśmy się w Borach Tucholskich na daczy jednego z nich. Tam przyjeżdżali profesorowie filozofii z Poznania, z Wrocławia, ze Stanów Zjednoczonych, z całego świata. Ośmiu, dziewięciu facetów wychodziło na werandę, po czym przez dwie, trzy doby piło i dyskutowało. Kiedyś tam akurat wpadłem z moim synkiem Pawełkiem. Miał wtedy trzy, cztery lata. Przy stole siedzą ci profesorowie i strasznie jęczą, i nadają na młodzież. Jacy ci studenci idioci, nie czytają żadnych książek, nie mają podstaw wiedzy i w ogóle brak im jakichkolwiek podstaw. Nie chciałem im powiedzieć, że im też brak podstaw, bo nie wiedzą, na przykład kim jest Wiedźmin. W tym momencie przez werandę przebiegał mój synek. Ja go zawołałem i mówię: „Paweł. Ty powiedz tym panom, jaki jest świat". Paweł popatrzył na mnie jak na idiotę, popatrzył na tych panów, wzruszył ramionami i powiedział: „Normalny". I poleciał. Bo świat jest zawsze normalny, tylko ludziom wydaje się, że już do niego nie pasują albo że to wszystko poszło w nie tę stronę, co oni chcieli.

– Ma Pan jakieś plany literackie?

– Reanimowano dział literacki „Młodego Technika", w którym kiedyś debiutowałem. Zwrócili się do mnie, czy bym nie napisał czegoś, skoro tam zaczynałem. No i wymyśliłem. To będzie science fiction polityczne, obyczajowe. Piękny tytuł ma to opowiadanie – „Takamoda". Brzmi jak imię samuraja. To jest opowiadanie o małym chłopcu, który ma na imię Mody. Ale kiedy śpi, to śni mu się, że jest Takamodą, wielkim samurajem. Motto wziąłem z Bushido, z kodeksu samurajów, zaczynające się od słów: „Bądź dzielny". Piszę jeszcze z moją przyjaciółką Martą Sobiecką taką mikropowieść „Ołtarz zwycięstwa", mamy już wszystko gotowe. Ona zrobiła całą robotę, z moją robotą są kłopoty, bo jestem po prostu wolny. Nie jestem już taki wymiatacz jak kiedyś, że siadałem i kilkadziesiąt stron w ciągu jednej nocy trzaskałem... Ale skoro to wywiad dla „Tygodnika Solidarność", to może opowiem moją przygodę z Solidarnością. Tylko to dosyć kontrowersyjne.

– Proszę opowiedzieć.

– Otóż ja, Wiktor Żwikiewicz, okradałem Region Mazowsze Solidarność ze sprzętu. Hasło było piękne: należy ratować, zanim komuniści przejmą to wszystko, co Region Mazowsze posiadał. No więc osobiście ładowałem na wielkie ciężarówki skrzynie i kartony z nadrukami amerykańskich związków zawodowych, nierozpakowane. Ładowałem komputery, drukarki, całe elementy drukarni, krzesła, biurka. Wszystko to było przewożone do siedziby następnej gazety solidarnościowej.

MŁODZI LUDZIE BARDZO MNIE FASCYNUJĄ. LUBIĘ MIEĆ POJĘCIE O TYM, CO SIĘ DZIEJE W ŚWIECIE MŁODZIEŻY.

– Rozumiem, że to miało na celu uchronienie sprzętu przed konfiskatą?

– Przed konfiskatą, tak. Kiedy więc już wszystko spakowaliśmy, kiedy ciężarówki pojechały, to po jakimś czasie okazało się, że ta gazeta, do której ten cały sprzęt, ten majątek miał trafić, już nie jest gazetą solidarnościową, tylko należy do spółki, na której czele stoją Wajda, Bujak i Michnik. To już było wtedy własnością „Gazety Wyborczej", która w pewnym momencie przestała być gazetą Solidarności i stała się prywatną własnością paru ludzi. I ja osobiście okradłem, pomogłem zdefraudować, że tak powiem, majątek Solidarności. Śmiać mi się chce i płakać, jaki człowiek był głupi i naiwny w tamtym czasie, że dawał się zmanipulować. I wie Pan, tak jak dzisiaj patrzę na Solidarność, to jest dosyć kontrowersyjne, bo tak, to była moja miłość, ale nie wiem, na ile Solidarność nie była narzędziem wielkiej polityki europejskiej i nie tylko europejskiej.

– To znaczy?

– Podam taki dziwny zbieg okoliczności. Jeszcze żyją ludzie, którzy ten czas pamiętają. W Europie NATO było już w strzępach. Francuzi od czasów Charles'a de Gaulle'a jawnie demonstrowali, gdzie jest miejsce Amerykanów w świecie. Mają wypier... z Europy. To mówił de Gaulle

eprasa.pl d85bf63bee

wprost, również inni politycy francuscy. W Niemczech bazy amerykańskie już się szykowały do spakowania. Tak się dziwnie trafiło, że w tym okresie nagle w Europie pojawił się ktoś, kto zaczął krzyczeć głośno, że chce do NATO. To była Polska. Polska chce do NATO. Nagle NATO stało się znowu ważne, znowu stało się potrzebne. Pytanie, na ile my, Polacy, w tym również Solidarność, nie zadziałaliśmy po prostu jako narzędzie ludzi z Waszyngtonu, którzy naprawdę myślą globalnie o świecie. Historia się powtarza. Minęło parę lat, Niemcy dogadują się z Putinem, Europa nie płaci składek NATO-wskich, no i co mamy... wojnę na Wschodzie. I NATO znów jest potrzebne.

– A jak Pan dziś patrzy na tamto swoje zauroczenie Solidarnością?

– Proszę Pana, to tak jakby patrzeć na czasy komuny. Wielkie, potężne g..., ale wtedy byliśmy młodzi i piękni. I mieliśmy siłę. Ja się nauczyłem dzisiaj patrzeć na świat w ten sposób: zawsze pamiętaj o tym, że istnieje druga strona medalu, że z jednej strony jest to piękne, świecące w słońcu, złote, a z drugiej strony może być to jedno wielkie g... I ani jedno nie jest prawdziwe ani kłamliwe, ani drugie. Obydwa są pewną tożsamością rzeczywistości. Tworzą całość. I wie Pan, o ile sercem byłem zawsze po stronie Solidarności z jej etosem robotniczym mającym wiele wspólnego z walką klas, to dzisiaj wiemy doskonale, że istnieje tylko jedna klasa. Istnieje władza oraz klasa niewolnicza. Tą klasą niewolniczą mogą być chłopi, robotnicy, urzędnicy, mogą być nauczyciele, pisarze, muzycy – wszyscy. Bo to jest klasa niewolnicza, która coś wytwarza, ale wszystkim rządzi władza. I zawsze tak było. Tak było za Piastów, kiedy Bolesław Chrobry swoich ziomków sprzedawał jako niewolników. Tak było i tak będzie po prostu.

– Literatura science fiction zawsze miała w sobie potencjał buntu. Jej bohaterowie to zwykle samotni buntownicy, którzy stają przeciwko potężnemu systemowi.

– Moim bohaterem dziecięcych lektur był zawsze Spartakus. Niewolnik, który jednak się zbuntował. I ten bunt zawsze w człowieku drzemie i prędzej czy później wyjdzie. Chociaż kiedy mówię „człowiek", to też nie wiem, o czym mówię, bo twierdzę, że na kuli ziemskiej istnieją dwa gatunki homo sapiens. Jeden to ten, któremu się wydaje, że jest sapiens – oraz Polacy i Rosjanie. To jest po prostu zupełnie inny gatunek człowieka, homo mysticus. Polacy i Rosjanie żyją ideami mistycznymi, które dla takiego Szwajcara są do postukania się w głowę. My żyjemy mitami. Mogę Panu z rękawa sypnąć mitami, które są cegłami naszej współczesnej kultury. Na przykład Kościuszko. A co zrobił ten Kościuszko? Ruszył polskich chłopów i tak dalej, poszli w bitkę, dostał w d... i spier... do Ameryki. A co robił w tej Ameryce? Przygotowywał amerykańską regularną armię do mordowania Indian. Może nie miał takiej intencji, ale po wygranej wojnie o niepodległość USA armia robiła, co robiła. A co zrobił na łożu śmierci? Na łożu śmierci wspaniałomyślnie swój majątek przekazał na wykup niewolników, czyli Murzynów w Stanach Zjednoczonych. A skąd on miał ten majątek? On nie myślał o wyzwoleniu swoich chłopów pańszczyźnianych, od których miał ten majątek. Dla niego to nie byli niewolnicy. To nasz szlachetny, wspaniały bohater. Na szczęście byli lepsi bohaterowie. Byli inżynierowie jak Ignacy Domeyko, którzy budowali kolej w Andach. Tak, to byli prawdziwi bohaterowie polscy. Na pewno nie Kościuszko, nie Pułaski.

MOIM BOHATEREM DZIECIĘCYCH LEKTUR BYŁ ZAWSZE SPARTAKUS. NIEWOLNIK, KTÓRY JEDNAK SIĘ ZBUNTOWAŁ. I TEN BUNT ZAWSZE W CZŁOWIEKU DRZEMIE I PRĘDZEJ CZY PÓŹNIEJ WYJDZIE.

– Pana zdaniem Solidarność jest też takim mitem?

– Tak. Zachowując wszystkie proporcje, to jest coś takiego jak chrześcijaństwo. Ono było punktem odniesienia dla całej Europy. Przestało być. I Europa bez tego mitu zdechnie, prędzej czy później, ale zdechnie. Ważne jest, żeby pamiętać, że potrafiliśmy się zbuntować, i to kiedyś będzie przyświecało innym młodym ludziom, których rzeczywistość znudzi.

Pełną treść rozmowy można przeczytać na naszym portalu Tysol.pl.

Wiktor Żwikiewicz – urodził się w 1950 roku w Bydgoszczy, z wykształcenia technik geodeta, w zawodzie pracował pięć lat., później był m.in.plastykiem zakładowym, aktorem i reżyserem sztuk w teatrze studenckim, tragarzem, drwalem i pomocnikiem archeologów. Przez wiele lat był osobą bezdomną, obecnie mieszka w Bydgoszczy. Debiutował w 1971 roku opowiadaniem w „Młodym Techniku". Napisał ich kilkadziesiąt.

eprasa.pl d85bf63bee

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski

Déjà vu

W kurzu, który podniósł się w trakcie kampanii prezydenckiej, a który bardzo powoli zaczyna opadać, można już dostrzec pierwsze poważniejsze analizy jej przebiegu oraz racji, sił i technik, które stały za zwycięstwem Karola Nawrockiego. Wiadomo jednak, że oddech dopiero się uspokaja, a wygrana kandydata obywatelskiego, która stanowić będzie przez kolejnych pięć lat jedną z poważniejszych „osi" życia politycznego w Polsce, ma dalekosiężne konsekwencje. Nie tylko ocena i analiza całej kampanii, ale nawet uzyskanie pełnej wiedzy o takich jej składowych jak kampania pomówień czy próby „obchodzenia" lub łamania wprost reguł Kodeksu wyborczego (myślę tu choćby o zaangażowaniu w kampanię reklamową organizacji Akcja Demokracja) wymagają czasu, dochodzeń, może i zmiany układu politycznego.

Jeśli jednak ktoś jest na tyle niecierpliwy, by już dziś dowiedzieć się więcej o kampanii, w której doszło do łamania prawa, uruchomienia nielegalnej kampanii internetowej, zaangażowania środowisk (Silni Razem, Sok z Buraka) i mediów związanych z Platformą wykreowanych przez nią lub z nią sympatyzujących (znamienny jest przykład uruchomienia spółki reklamowej AMS Media, związanej z „imperium Agory"), uruchomienia przeciw kandydatowi pieniędzy i siły „układu miejskiego" z deweloperami na czele – nie musi czekać rok lub półtora na prace, które prawdopodobnie powstaną. Wystarczy, że sięgnie po zatytułowaną niczym podręcznik dla spin doktorów książkę „Kampania. Jak wygrać wybory i nie dać się złapać" dwóch autorów związanych z różnymi mediami: Andrzeja Gajcy – dawnego dziennikarza Onetu, i Wojciecha Muchy – kulturoznawcy i reportera, w 2023 r. redaktora naczelnego krakowskiego „Dziennika Polskiego" i członka projektu przeciwdziałania rosyjskiej dezinformacji Stopfake.org.

Książka tych dwóch autorów opisuje kampanię sprzed roku: rywalizację o fotel prezydenta Krakowa, opuszczony po wielu latach przez profesora Jacka Majchowskiego. Rywalizację, do której stanęli (po ustąpieniu lub odpadnięciu słabszych lub pozornych kandydatów) kandydat Koalicji Obywatelskiej Aleksander Miszalski oraz Łukasz Gibała, przedsiębiorca dawniej związany z Platformą, w 2024 r. usiłujący zmobilizować obywateli Krakowa z deweloperskim układem.

Nie przypadkiem zatytułowałem tę notę „Déjà vu". Oczywiście, nic dwa razy się nie zdarza (jak napisała pewna krakowska poetka), nie mieliśmy więc do czynienia z kopią jeden do jednego. Podczas kampanii prezydenckiej nie doszło (a przynajmniej nic o tym dotąd nie wiemy) do włamań i kradzieży dokumentów ani do drukowania „łże-gazet", naśladujących popularne tytuły. W Krakowie ograniczono się też do pomawiania oponenta Platformy o nieuczciwość w biznesie. Inna była skala uruchomionych środków, większą rolę w kampanii ogólnopolskiej odegrał internet, inna była przede wszystkim – przy niemałej wadze Krakowa – waga tych wyborów. Nie sposób, bodaj z ostrożności procesowej, stwierdzić wprost, że małopolskie zmagania były „próbą generalną" przed kampanią roku 2025. Wrażenie podobieństwa jest jednak równie uderzające jak ulga, że premiera spektaklu zakończyła się jednak klapą.

Recenzujący na innych łamach tę książkę Piotr Zaremba słusznie zwrócił uwagę, że zabrakło może w tej publikacji pomysłów na uzdrowienie sytuacji, na zablokowanie różnego rodzaju działań sprzecznych z prawem, wobec których policja i prokuratur rozkładają ręce (przede wszystkim – finansowania „para kampanii", nieautoryzowanych przez oficjalny komitet wyborczy kandydata). Pamiętajmy jednak, że książka Gajcego i Muchy nie jest, wbrew tytułowi, podręcznikiem: uszczelnienie luk to zadanie dla prawodawców i sędziów. Recenzentami ich działań będziemy nie tylko my, ale i najbardziej niepokojący bohater książki: spotkany przez autorów sycylijski biznesmen, który, jak to się mawia, „chciałby pozostać anonimowy" i który zdumiewająco dobrze orientuje się w dziejach szarej strefy III RP – od „Pruszkowa" i „Wołomina" począwszy.

Andrzej Gajcy, Wojciech Mucha, „Kampania. Jak wygrać wybory i nie dać się złapać", Wydawnictwo Nowej Konfederacji, Warszawa 2025.

eprasa.pl d85bf63bee

Wielkie święto

Obraz DCCXLII, 1999

Obraz DCCXXXV, 1999

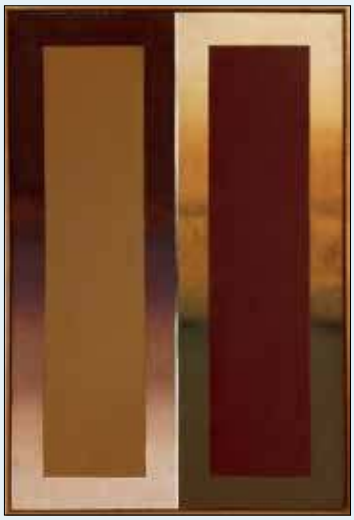

Obraz DXXVIII, 1984

„Czerń i biel, a pośrodku szarość"

Wiem, że niektórym trudno przekonać się do malarstwa abstrakcyjnego. Że nawet jeśli nie są entuzjastami „jeleni na rykowisku" i godzą się z tym, że istnieje coś poza ułanami Kossaka, to wymagają od artysty wysiłku w przedstawieniu, bodaj i subiektywnym, „przefiltrowanym" przez indywidualną wrażliwość, rzeczywistego świata. Abstrakcja wydaje im się nieprzyzwoitą łatwizną, podejrzewają w niej oszustwo – nawet jeśli nie tak jaskrawe, jak w przypadku twórców wszelkiego rodzaju „instalacji", którym marzą się „interwencje społeczne" z użyciem przypadkowo nagromadzonych przedmiotów – to jednak oszustwo. Jak bronić płócien pokrytych tylko kilkoma kolorami albo ciemnego, bakłażanowego granatu pokrytego jasnokremowymi punkcikami (obraz z daleka wygląda jak olbrzymia perliczka) przez filisterską, ale czasem z głębi serca wyrażaną pretensją: „Tak to i moje dziecko mogłoby namalować".

Właśnie takich sceptyków chciałbym najbardziej namówić na kwadrans lub dwa w galerii prowadzonej w sercu Warszawy przez Fundację Stefana Gierowskiego, gdzie na stulecie urodzin polskiego „klasyka awangardy" zorganizowano szczególną wystawę. Dokonano wyboru jego dwudziestu kilku, może trzydziestu, obrazów pogrupowanych według zagadnień, które sam Gierowski wyróżnił przed kilku laty, kiedy znane włoskie wydawnictwo Skira przygotowywało poświęcony mu album. Malarz zaproponował wówczas kategorie „Niebo – Linia", „Światło i barwa", „Ziemia: podziały", „Pojęcia", „Początek i koniec", „Abstrakcja". W kamienicy na placu Dąbrowskiego każde z tych zjawisk ilustrowane jest kilkoma dziełami.

Większość z nich, zgodnie z konwencją przyjętą przez Gierowskiego jeszcze w latach 60., nie ma własnych nazw, zatytułowana jest po prostu „Obraz..." z dodatkiem numeracji zapisanej na sposób rzymski. Klasycznie – ale też nierozpraszająco.

Bo też obrazy Gierowskiego – przekonuję się o tym za każdym z nimi spotkaniem – mają być przede wszystkim namysłem nad kolorem, jego możliwościami i ograniczeniami. To aż zabawne, że miliony z nas są w stanie przy okazji remontu spędzić pół dnia w dusznym supermarkecie budowlanym, zastanawiając się, czy do jadalni bardziej pasować będzie brzoskwiniowy róż cieplejszy, czy rozbielony: podchodzimy przy tym do ściany z próbkami, cofamy się, narzekamy na sztuczne oświetlenie i wynosimy tuziny próbek, by już w mieszkaniu przyłożyć je do kanapy, stołu, psa i wrócić z kolejnymi wątpliwościami.

Gierowski oferuje nam to samo, tylko bez troski o zgranie wykładziny z sufitem. Można po prostu stanąć na kilka minut przez „Obrazem DCCXLII" i zastanowić się jego słowami: „Kiedy zieleń przestaje być farbą zieloną, a staje się pojęciem zieleni?". Zamyślić się, czy to możliwe, by kolory nie tylko przenikały się i pochłaniały, ale wręcz zabijały i pożerały, jak na tym płótnie?

Można spojrzeć na bezwład oranżowych maźnięć, ujętych, jak w obręcz, w czarny matowy czworokąt. Albo na przeplecione brązy, ochry i beże, przecięte wąską srebrną smugą (to mogło być pochmurne niebo albo strumień) i zdać sobie sprawę, że ten wychowanek Gór Świętokrzyskich znany był jako abstrakcjonista, ale tak naprawdę zawsze malował „różne układy poletek [...] które zostały w pamięci jak blaski bieli przed burzą lub smugi ulewnego deszczu".

Stefan Gierowski, „Malowanie jest radością – nawet gruntowanie płótna to jest wielkie święto!", Fundacja Stefana Gierowskiego, plac Dąbrowskiego 8/11, Warszawa; 25 maja – 28 września br.

eprasa.pl d85bf63bee

Wakacje z Bogiem, rekolekcje w drodze, medytacje w ciszy na pierwszy rzut oka mogą wydawać się **ryzykowne**, by tracić na nie dni urlopu i pieniądze. Jednak kto raz w to wejdzie, ten będzie wracał co rok.

Jakub Pacan

Wakacje coraz głośniej dopominają się o swoje prawa, mamy już czerwiec i czas trudnych wyborów, jaki rodzaj wypoczynku w tym roku wybrać, coraz bardziej wypełnia nam głowę. Standardowe zestawy zna każdy. Pojawiają się za to, i to od lat, niszowe propozycje, a wśród nich wakacje, które w skrócie można określić wakacjami z Bogiem.

Leniuchować bez wyrzutów

Tutaj należy się pewne wyjaśnienie natury psychologicznej. Na pierwszy rzut oka łączenie czasu wakacji z osobą Boga może się trochę gryźć, bo wakacje to czas, kiedy sobie luzujemy, pozwalamy na małe grzeszki i szaleństwa, Boga zaś kojarzymy z obowiązkiem, koniecznością powściągania grzesznej natury, nakazami i zakazami, poza tym z ascezą i wyrzeczeniami. W końcu sam

Odpoczynek w BOGU

eprasa.pl d85bf63bee

Dekalog zbudowany jest z twardych nakazów i zakazów moralnych.

Niestety nikt nie uczył nas odpoczywania w Bogu, na pozwalanie sobie na nic nierobienie w objęciach Ojca. Odpoczynek to według najprostszej definicji wewnętrzna zgoda na nic nierobienie, „trwonienie" czasu dla siebie i ładowanie akumulatorów bez wyrzutów sumienia. Inna sprawa, że my, współcześni, jesteśmy tak przepojeni proponowanymi nam z każdej strony namiętnościami, czy wręcz erotyzmem i hedonizmem, że na myśli o wakacjach z Bogiem gdzieś w ciszy klasztoru możemy na pierwszy rzut oka reagować odrzuceniem, traktując to jako nudę i stratę pieniędzy. W dzisiejszych czasach specjaliści od reklamy dbają o to, by w naszej świadomości królowały raczej obrazki wiecznych bachanaliów niż wakacji z Bogiem.

Fot. Adobe Stock

I coś w tym jest, że do wakacji z Bogiem trzeba trochę dojrzeć, przestawić się na odpoczynek twórczy i płodny wewnętrznie, bo z Bogiem wakacje inne być nie mogą. W końcu Bóg to miłośnik życia i wszystko, co uczynił, byśmy mogli z tego korzystać: niebo, ziemię, rośliny, zwierzęta, było bardzo dobre. „Bóg widział, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre" – zapewnia nas Księga Rodzaju. Na koniec dzień, w którym postanowił odpocząć, uczynił jeszcze świętym. „Wtedy Bóg pobłogosławił ów siódmy dzień i uczynił go świętym; w tym bowiem dniu odpoczął po całej swej pracy".

Odpoczynek – czas święty

Czas odpoczynku jest jednocześnie czasem darowanym, czasem świętowania, czasem celebracji wspólnych ognisk i czasem powrotu do siebie – jak mówił Jan Paweł II. Podczas spotkania z młodymi w Castel Gandolfo w 1985 roku papież się zwierzył: „Za dobrych czasów liczyłem wakacje według ilości ognisk, liczyłem wakacje według ilości nocy przespanych pod namiotem. Jeżeli była odpowiednia ilość, to wtedy były też dobre wakacje. Ognisko jest czymś niezwykłym zawsze, gdziekolwiek zapłonie, ściąga ludzi, skupia i ludzie się czują w jego kręgu dobrze. Często nawet nie śpiewają, tylko dumają, ale najczęściej śpiewają: ognisko nastraja do śpiewu, śpiew jest wyrazem wspólnoty [...]. Wspólnota ma swoje oparcie, swój korzeń w miłości i stąd ognisko jest symbolem chrześcijaństwa – chociaż na pewno tradycja jego sięga, choćby na naszych polskich ziemiach, czasów przedchrześcijańskich".

Jednocześnie Jan Paweł II tak definiował wypoczynek przeżywany po chrześcijańsku: „Chodzi o to, ażeby wypoczynek nie był odejściem w próżnię, aby nie był tylko pustką. Wtedy nie będzie naprawdę wypoczynkiem. Chodzi o to, ażeby był wypełniony spotkaniem. Mam na myśli – i owszem – spotkanie z przyrodą, z górami, morzem i lasem. Człowiek w umiejętnym obcowaniu z przyrodą odzyskuje spokój, ucisza się wewnętrznie". W liście apostolskim „Dies Domini" o świętowaniu niedzieli pisał: „Z kolei sam wypoczynek, jeśli nie ma się stać jałową bezczynnością, która wywołuje uczucie nudy, musi być źródłem duchowego wzbogacenia, zapewniać większą wolność, umożliwiać kontemplację i sprzyjać braterskiej wspólnocie. Dlatego spośród różnych form ludzkiej kultury oraz rozrywek, jakie proponuje społeczeństwo, wierni winni wybierać te, które najbardziej odpowiadają życiu zgodnemu z nakazami Ewangelii".

Według św. Tomasza z Akwinu trzecie przykazanie „nakazuje spoczynek umysłu w Bogu". Mówi o tym także słynne zdanie z „Wyznań" św. Augustyna: „Niespokojne jest serce nasze, dopóki nie spocznie w Tobie". W Mądrości Syracha czytamy z kolei: „Postanowiłem bowiem wprowadzić ją [mądrość] w czyn, zapłonąłem gorliwością o dobro i nie doznałem wstydu. [...] Patrzcie oczami: mało się natrudziłem, a znalazłem dla siebie wielki odpoczynek" (Syr 51,18.27).

Biblia na wielu stronach przekonuje nas, że prawdziwy odpoczynek możliwy jest jedynie przy Bogu: „Dusza moja spoczywa tylko w Bogu" (Ps 62,2); „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć" (Ps 23,1–2), „Lecz ci, co zaufali Panu, odzyskują siły, otrzymują skrzydła jak orły:

eprasa.pl d85bf63bee

biegną bez zmęczenia, bez znużenia idą" (Iz 40,31). Sam Jezus mówi o sobie: „Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię" (Mt 11,28).

Jezus idzie odpocząć

W Ewangelii św. Marka Jezus mówi do swoich Apostołów, by po trudach pracy udali się na odpoczynek: „Wtedy Apostołowie zebrali się u Jezusa i opowiedzieli Mu wszystko, co zdziałali i czego nauczali. A On rzekł do nich: «Pójdźcie wy sami osobno na miejsce pustynne i wypocznijcie nieco». Tak wielu bowiem przychodziło i odchodziło, że nawet na posiłek nie mieli czasu" (Mk 6, 30–31).

Jezus często udawał się na miejsce pustynne, by się modlić i złapać równowagę po intensywnej pracy apostolskiej. W Ewangeliach czytamy, że wszędzie, gdzie się pojawił, garnęły się do Niego tłumy ludzi, a On mimo wciąż rosnącej liczby ludzi w potrzebie nie zaniedbywał odpoczynku. „Nad ranem, kiedy jeszcze było ciemno, wstał, wyszedł i udał się na miejsce pustynne, i tam się modlił" – czytamy u św. Marka (Mk 1,35). A działo się to w sytuacji, gdy Jezus uzdrowił teściową św. Piotra. Kiedy ludzie się o tym dowiedzieli wieczorem, „całe miasto zebrało się u drzwi". Mimo to Jezus wyszedł rano zadbać najpierw o siebie. Mógł zrezygnować z chwilowego wypoczynku, przecież tylu cierpiących czekało na Niego pod domem, może nawet słychać było ich jęki. Jezus potrzebował jednak dystansu i wyciszenia.

Pustynie w miastach

Kościół poszedł śladem tych miejsc pustynnych, zadbał o nie w swojej posłudze, jednak przez wieki były dostępne bardziej osobom konsekrowanym. Dziś są ogromnym skarbem w Kościele, przetrwały do obecnych czasów i – co paradoksalne – współcześni odkrywają je na nowo. Dziś klasztory, domy rekolekcyjne i ośrodki wypoczynkowe prowadzone przez liczne zgromadzenia zakonne oferują swój „czas pustyni", rekolekcje tematyczne, rekolekcje dla małżeństw, czas pustyni z postem Daniela lub dietą św. Hildegardy, warsztaty psychodramy w oparciu o Biblię i odbyte już przez miliony Polaków rekolekcje ignacjańskie według metody św. Ignacego z Loyoli, założyciela zakonu jezuitów.

JEZUS CZĘSTO UDAWAŁ SIĘ NA MIEJSCE PUSTYNNE, BY SIĘ MODLIĆ I ZŁAPAĆ RÓWNOWAGĘ PO INTENSYWNEJ PRACY APOSTOLSKIEJ.

W samym Zakopanem, miejscu odwiedzin tysięcy Polaków w zimie i w lecie, niedużym w końcu mieście, działa ponad dziesięć domów rekolekcyjnych oferujących cały wachlarz wakacji z Bogiem: Sesje biblijne u saletynów; Ćwiczenia duchowe i sesje weekendowe u jezuitów, np. „Jezus ludzkim sercem kochał", „Wstyd – lęk o własną godność" czy po prostu „Wędrowanie z Bogiem"; Rekolekcje o Miłosierdziu Bożym połączone z wypoczynkiem organizowane przez Zgromadzenie Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia. Rekolekcje dla młodzieży ze wspólnym wędrowaniem po górach mają Siostry Prezentki i Siostry Niepokalanki. Siostry od Aniołów także prowadzą rekolekcje oraz sesje weekendowe w stolicy polskich Tatr. Zresztą Siostry od Aniołów mają szeroką ofertę rekolekcji dla kobiet: „5 Kroków w stronę uważności – pojednanie jako styl życia", Spotkanie dla kobiet „Między ciszą a śmiechem", Rekolekcje „Jest już za późno... nie jest za późno!".

Siostry Niepokalanki proponują „Warsztaty rozwojowe, sesje coachingowe: „Proponujemy także wzrastanie ku pełni, która jest w CHRYSTUSIE na płaszczyźnie ludzkiej, w formie warsztatów rozwojowych oraz sesji coachingowych. Jako że łaska buduje na naturze, niezmiernie ważny jest proces samowychowania". W ramach sesji odbywa się wiele spotkań tematycznych dotyczących rozwoju osobistego, pracy z ciałem, modlitwy itp.

Siostry Sacre Coeur proponują nawet czas pustyni w Warszawie, w ich Centrum Duchowości znaleźć można rekolekcje ignacjańskie, rekolekcje tematyczne, sesje tematyczne oraz skupienia rekolekcyjne. Oferowane są następujące rekolekcje: „Przebaczenie drogą do wolności", „Rekolekcje o Sercu Jezusa", „Rekolekcje dla kobiet: Gdybyś znała dar Boży..." i oczywiście rekolekcje ignacjańskie.

Na bardzo ważny ośrodek rekolekcyjny nie tylko w skali Polski, ale także w skali świata wyrasta Centrum Formacji Duchowej Ojców Salwatorianów w Krakowie. Salwatorianie słyną z rekolekcji „Lectio divina", choć prowadzą także „Ćwiczenia duchowe" i mnóstwo sesji weekendowych. Na rekolekcje trzeba się zawsze zapisywać długo przed terminem, a i tak lista rezerwowa jest zawsze pełna. Rekolekcje prowadzili już u nich najsłynniejsi rekolekcjoniści na świecie.

Warto w te wakacje zaryzykować i spróbować czegoś nowego. Zazwyczaj jest tak, że jak ktoś raz spróbuje takich rekolekcji, to później do nich wraca.

eprasa.pl d85bf63bee

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Dialog to łomot

Jan Wróbel

Rozmowa byłego ministra edukacji Przemysława Czarnka w radiowej Trójce, krótka, gdyż polityk wyszedł ze studia, mogła Państwu umknąć. Strata nie taka duża, tzw. zawartość merytoryczna kłótni (Odruchowo napisałem wyżej, że „rozmowy"? Przepraszam!) wielka nie była. A jednak, tak analitycznie, warto nieco uwagi poświęcić kolejnemu „starciu pogard" między obozem demokratyczno-liberalnym a obozem narodowo-demokratycznym. Co bowiem uwypuklono? Trzy prawa kardynalne tego, khem, dialogu:

1. Nie rozmawiaj, tylko deklamuj do swoich. Nie wykazuj żadnego zainteresowania argumentacją drugiej strony (zresztą, argumentacją nikczemną, płaską i obrzydliwą).

2. Absolutnie nie przekonuj nieprzekonanych (zresztą to zapewne durnie, skoro są nieprzekonani).

3. Personalizuj atak, nie pozostawiając ani centymetra niedopowiedzeń. „Znów pani kłamie, znów pani kłamie, znów pani kłamie" – atakował Czarnek. No, pozamiatane.

A jeżeli myślą Państwo, że teraz ruszę z jednoosobową szarżą na pisowskiego krzykacza (i zapewne przyszłego premiera), to czeka za rogiem rozczarowanie. Czarnek zastosował nic innego niż metody, które zobaczyliśmy wszyscy w wykonaniu odwodów pancernych Rafała Trzaskowskiego. Nie bardzo można się dziwić, że odreagował.

Znając jednak co nieco pana ministra, mniemam, że połączył przyjemne z pożytecznym. Pokrzykiwanie na Renatę Grochal, dziennikarkę dającą silne dowody pisofobii, musiało być przyjemne. A unikanie rozmowy na temat, który pani redaktor próbowała narzucić, czyli hejtu mediów publicznych w czasach PiS, było pożyteczne. Przecież moralne oburzenie na media, które podle łżą... akurat w wykonaniu liderów PiS jest diabła warte. Wszyscy oni są owinięci żółtymi paskami, których treść straszyła i tumaniła (w syntetycznym skrócie: „Na zlecenie Berlina PO znów kłamie, PO znów kłamie, PO znów kłamie").

Aby rozmowa na temat przekazu mediów, rozmowa, która w istocie dotyczy kultury politycznej i wspólnego kodu etycznego przyzwoitych ludzi głosujących na różne partie, w ogóle się odbyła... No, tak, aby w ogóle się odbyła, musiałaby być ponadpartyjnie krytyczna. Ponadpartyjnie! Gwałtu, rety! Taka rozmowa nie jest nikomu potrzebna... Nie była też celem Renaty Grochal, która grillując gościa, nie odniosła się do jego trafnej obserwacji: tak, pisofoby dostały po pierwszej turze wyborów kuku na muniu w sposobach atakowania Karola Nawrockiego. O ileż wygodniej było jej jednak rozmawiać o amoralności PiS niż PO...

ROZMOWA PONADPARTYJNIE KRYTYCZNA? GWAŁTU, RETY, BIJĄ NASZYCH!

Ostatnie niedobitki trzaskowskie rzuciły się po bolesnej przegranej nawet na 7-letnią córeczkę prezydenta elekta. Nawiasem mówiąc, Karolinie Korwin-Piotrowskiej, pisofobce przecież, która wystąpiła przeciwko fali hejtu na dziecko i pociągnęła za sobą kilka dziennikarek z liberalnego środowiska, należą się podziękowania. A zatem dziękuję. Malutka to jaskółka wiosny, ale doświadczenie uczy, że lepiej cieszyć się z małego niż z żadnego.

eprasa.pl d85bf63bee

Wiara stadionów

Fot. arch. księdza J. Wąsowicza

eprasa.pl d85bf63bee

– W Polsce niechętna środowisku kibiców strona ma media, olbrzymie pieniądze, cały zestaw różnych narzędzi, którymi można zdyskredytować dane środowisko czy poszczególne osoby. A kibice mają siebie, są swoim zasadom wierni – mówi ks. dr hab. **Jarosław Wąsowicz**, duszpasterz kibiców, w rozmowie z **Agnieszką Żurek**.

– Jaka była pierwsza reakcja Księdza Profesora na wygraną Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich?

– Brałem udział w wieczorze wyborczym i przeżywałem ten czas spokojnie. Byłem wewnętrznie przekonany, że Karol wygra, bo wykonał tytaniczną pracę i był po prostu sobą, był autentycznym człowiekiem – takim, jakim go znam. Wiem, że tacy ludzie potrafią poruszyć serca. To zwycięstwo miało szczególny wymiar także z powodu niezwykłej brutalności kampanii wyborczej, niebywałego hejtu, pomówień i ataków, do których zaprzęgnięty został cały aparat państwa. Karol przeszedł to zwycięsko, nie ugiął się, a nie jest to łatwe – o czym wie każdy, kogo szkaluje się w mediach. Bardzo smutne było również to, że ataki dotyczyły także najbliższych Karola. Trzeba pogratulować całej rodzinie, że przeszła ten czas zwycięsko i że wszystkim dała nadzieję, bo – jak się okazuje – nawet przy zorganizowanej, skomasowanej fali ataków, z pomocą Bożą i dobrych ludzi, można przezwyciężyć zło, które jest wokół nas. Ta kampania dowiodła prawdziwości słów św. Pawła, tak często cytowanych przez patrona Solidarności bł. ks. Jerzego Popiełuszkę: „Zło dobrem zwyciężaj".

– Jakim prezydentem będzie Karol Nawrocki?

– Znam go jako bardzo dobrego człowieka, niezwykle odpowiedzialnego, potrafiącego bardzo konsekwentnie realizować powierzone mu zadania. Jest bardzo skuteczny, potrafi wokół ważnych spraw zgromadzić ludzi – niekoniecznie nawet o tych samych poglądach. Zawsze mnie wzruszało, że znajdował czas dla pojedynczych skromnych ludzi, o których przez wiele lat Polska zapominała – myślę tutaj o kombatantach II wojny światowej, o Żołnierzach Wyklętych, o ludziach Solidarności. Uczestniczył w uroczystościach, w których nie zawsze prominentni funkcjonariusze państwowi biorą udział – w imieninach, urodzinach kombatantów, w rozmaitych ważnych dla nich jubileuszach. Momentem, kiedy świetnie się sprawdził, była organizacja uroczystości pogrzebowych Danuty Siedzikówny „Inki" oraz Feliksa Selmanowicza ps. „Zagończyk", za które Karol Nawrocki był wówczas odpowiedzialny. Było to zadanie niełatwe, bo do Gdańska przyjechały wówczas dziesiątki tysięcy ludzi. Karol jeszcze jako pracownik IPN-u, jako dyrektor Muzeum II Wojny Światowej i wreszcie jako prezes IPN-u zawsze wspierał organizowaną przeze mnie akcję „Serce dla Inki", czyli upamiętnianie bohaterskiej sanitariuszki V Brygady Wileńskiej Armii Krajowej wotami w postaci srebrnych serc zawierających ziemię z jej grobu. Tych serc jest już 25 w różnych miejscach Polski i na Wileńszczyźnie, a akcja ciągle trwa. Jako duszpasterz kibiców jestem wdzięczny Karolowi za to, że jeździł z wykładami na Pielgrzymkę Kibiców na Jasną Górę. Była to inicjatywa, którą najpierw wielu wyśmiewało, a później oczerniało. Działo się tak tylko dlatego, że wokół idei patriotycznych, wokół spraw ważnych dla Polski gromadzi się co roku kilka tysięcy kibiców, którzy uczestniczą we Mszy i w ciekawych wykładach na temat naszej historii. Karol brał udział w tym wydarzeniu najpierw jako kibic Lechii Gdańsk, a później już jako pracownik Gdańskiego Oddziału IPN-u, kiedy przyjeżdżał z wykładami o naszych bohaterach. Jako dyrektor Muzeum II Wojny Światowej potrafił niezwykle barwnie opowiadać o idei tego muzeum, o tym, jakie stawia sobie ono cele, zapraszać kibiców do tego, żeby odwiedzali to miejsce. I wreszcie jako prezes Instytutu Pamięci Narodowej był z nami na pielgrzymce dwa razy. Przyjechał do nas, kiedy podczas 15. Pielgrzymki święciliśmy największe dotychczas „serce dla Inki" złożone na Jasnej Górze jako dar polskich kibiców. Umówiliśmy się wówczas z Karolem, że na Pielgrzymce Kibiców w 2025 roku będziemy dyskutować o wyzwaniach i o polityce historycznej Instytutu Pamięci Narodowej. I tuż przed pielgrzymką Karol został obywatelskim kandydatem na prezydenta Rzeczypospolitej. Jestem mu wdzięczny, że dotrzymał słowa, że przyjechał na Jasną Górę, chociaż to wiązało się z pewnym ryzykiem, bo był to początek kampanii i udział Karola w tym wydarzeniu stał się pierwszym impulsem do ataków na niego. To, że wówczas przyjechał i wspólnie z nami się modlił, pokazuje, że

> Trzaskowskiego kibice uznali zgodnie za **zagrożenie wręcz egzystencjalne**, dotykające najważniejszych dla Polaków wartości. Trzeba zauważyć, że nigdy wcześniej na taką skalę stadiony nie zabierały głosu.

eprasa.pl d85bf63bee

jest człowiekiem bardzo odpowiedzialnym, lojalnym, że dotrzymuje danego słowa. Nie wiem, czy inny kandydat zdecydowałby się na taki początek kampanii. Dziś trzeba na to spojrzeć jak na dar Opatrzności – to na Jasnej Górze rozpoczęła się ta zwycięska kampania. Karol obiecał, że przyjedzie tu także jako prezydent, i wierzę, że dotrzyma słowa.

– Ksiądz także został zaatakowany przez „Gazetę Wyborczą" podczas tej kampanii – za poparcie Karola Nawrockiego oraz za bycie duszpasterzem kibiców. Skąd ta nienawiść środowisk liberalno-lewicowych do kibiców? Czy tu chodzi o słynne „Donald, matole, Twój rząd obalą kibole"?

– Atak mediów liberalno-lewicowych ma źródło w tym, że poglądy kibiców są zazwyczaj prawicowo-konserwatywne, zwłaszcza w tej części dotyczącej troski o polską pamięć historyczną, o nasze narodowe wartości, które kształtowały przez wieki Polaków. Kibice w ostatnich latach wielokrotnie dowodzili, że to są dla nich niezwykle ważne przestrzenie. Zawsze angażują się, kiedy widzą, że są w jakiś sposób deptane. O kibicach zrobiło się po raz pierwszy głośno, kiedy 20 lat temu zaczęli organizować z wielkim impetem w stolicy uroczystości rocznicy wybuchu powstania warszawskiego. Wskrzesili tradycję, która już w Warszawie obumierała. To dzięki nim coroczne obchody 1 sierpnia weszły już na stałe do polskiej tradycji. Nie można przy tej okazji nie wspomnieć o trosce środowiska kibicowskiego o kombatantów. W Wielkopolsce, gdzie mieszkam, kibice angażują się z kolei w obchody rocznicy zwycięskiego powstania wielkopolskiego. I tak jest w całej Polsce, gdzie upamiętniani są przez nasze środowisko lokalni bohaterowie walk o niepodległość. To kibice bronili kościołów podczas wściekłych ataków propagatorów aborcji, to kibice bronili Ojca Świętego Jana Pawła II, kiedy nawet i tę największą postać w polskiej historii i w historii polskiego Kościoła zaatakowano w perfidny sposób. Od razu pojawiły się wówczas oprawy na stadionach, murale, marsze pamięci i inne inicjatywy. Kibice są wierni wartościom, honorowi, nieprzekupni. Są wobec siebie lojalni, nie opuszczają się nawzajem, kiedy komuś powinie się noga, kiedy popełni błąd, kiedy gorzej mu się powiedzie, kiedy zachoruje albo nawet kiedy trafi do więzienia.

– Hasło „Byle nie Trzaskowski" pojawiło się na wielu stadionach w czasie tej kampanii wyborczej.

– Nawet oskarżano sztab wyborczy Karola, że to jest skoordynowana akcja. Tak nie było, kibice zresztą wcale niekoniecznie popierali wcześniej tego kandydata, raczej bliżej im zazwyczaj do poglądów narodowców. Jednak Rafała Trzaskowskiego uznali zgodnie za zagrożenie wręcz egzystencjalne, dotykające najważniejszych dla Polaków wartości. Trzeba zauważyć, że nigdy wcześniej na taką skalę stadiony nie zabierały głosu. Nawet na stadionach trzecio- czy czwartoligowych pojawiały się transparenty z tym właśnie hasłem. Myślę, że to też jakiś efekt przyniosło. W Polsce niechętna środowisku kibiców strona ma media, olbrzymie pieniądze, cały zestaw różnych narzędzi, którymi można zdyskredytować dane środowisko czy poszczególne osoby. A kibice mają siebie, są swoim zasadom wierni. I wydaje mi się, że jednak w tej konfrontacji to oni nadal są – przynajmniej u nas, w Polsce – górą. Tak też po trosze odbieram zwycięstwo w wyborach prezydenckich Karola Nawrockiego, który przecież nie ukrywa, że wywodzi się z naszego środowiska kibicowskiego Lechii Gdańsk, że był i jest aktywnym kibicem, na ile czas mu pozwala. Zawsze wspierał także patriotyczne inicjatywy kibiców. Kibice to nie tylko stadiony, ale także pewien styl życia, gotowość do bronienia wartości, naszego stylu życia i do pomocy słabszym. Widać to wyraźnie chociażby podczas akcji wspierania Polaków na Kresach, w których kibice biorą udział. Mam też okazję obserwować, jak ich to zmienia, jak doświadczenie tego, ile mogą czynić dobra, ile znaczy dla kogoś ich pomoc, czyni ich lepszymi ludźmi. Wyprawy na Kresy uczą nas wszystkich także pokory. Kiedy widzi się rodzinę mieszkającą w jednym pokoju bez dostępu do kanalizacji i z klepiskiem zamiast podłogi, przestaje się narzekać na głupstwa. Chęć czynienia dobra jest w sercach kibiców ogromna, wystarczy, żeby ktoś wskazał im konkretny sposób, w jaki mogą się zaangażować, a chętnie to robią. A atak „Wyborczej" na mnie? Wykorzystałem tę „chwilę sławy" w dobrej sprawie – nagłośniłem przy tej okazji zbiórkę pieniężną dla dzieci z Wileńszczyzny, która pięknie wówczas urosła. Jeszcze raz sprawdziła się dewiza obrana za motto życiowe przez bł. ks. Jerzego: „Zło dobrem zwyciężaj".

> Wyprawy na Kresy uczą nas wszystkich **pokory**. Kiedy widzi się rodzinę mieszkającą w jednym pokoju bez dostępu do kanalizacji i z klepiskiem zamiast podłogi, przestaje się narzekać na głupstwa.

Ks. dr hab. Jarosław Wąsowicz – salezjanin, historyk, popularyzator postaci abp. Antoniego Baraniaka. Naukowo zajmuje się m.in. badaniem dziejów antykomunistycznej konspiracji po 1945 roku, młodzieżowej opozycji i NSZZ „Solidarność" w PRL-u, historią Kościoła w tym okresie oraz martyrologią duchowieństwa w czasie II wojny światowej. Od 2008 roku jest organizatorem Ogólnopolskiej Patriotycznej Pielgrzymki Kibiców na Jasną Górę.

eprasa.pl d85bf63bee

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Cezary Krysztopa

Dlaczego ja?

Mam zostać odznaczony (kiedy będziecie to czytali, zapewne będzie już po wszystkim). Prawdziwym państwowym odznaczeniem. Oczywiście, że jestem dumny i oczywiście, że chcę się Wam pochwalić. A poza tym nie mam lepszego pomysłu na felieton.

Ile się jednak można chwalić? Pochwaliłem się w pierwszym zdaniu i wystarczy. Znacznie ciekawsze jest to, co mi świadomość tego faktu robi. Chyba nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógłbym zostać odznaczony przez prezydenta RP. A przynajmniej nigdy na poważnie. Tylu jest znamienitych i zasłużonych, dlaczego ja? Szczerze mówiąc, chyba nie umiem nawet wystarczająco dobrze się ubrać, żeby to się nadawało do Belwederu.

Wydaje się, że jeszcze niedawno nie bardzo miałem co jeść i gdzie mieszkać. „Karierę" rozpoczynałem jako parobek, potem „awansowałem" do pracy w cegielni, a potem jako pomocnik pilarza w lesie. Wprawdzie zawsze miałem imperatyw edukacji, nie ukrywam też, że jakieś nadzieje z tym wiązałem, ale po to, żebym mógł studiować architekturę w Białymstoku, musiałem jeździć „na gapę" autobusami PKS, brać materiały papiernicze na „wieczny kredyt" z litościwego sklepu papierniczego (jakiś czas temu zdążyłem z wielkim bukietem róż tuż przed likwidacją sklepu, właścicielka mnie nie pamiętała, była w szoku, a ja zapamiętam do końca życia i do końca życia będę dziękował) i jeść jeden posiłek dziennie, najczęściej smażony placek z mąki i wody.

A żeby dorobić do wątłej pensji młodego architekta, pracowałem na bazarach, nawiasem mówiąc, byłem w tym dobry. Sprzedawałem klej, podróbki perfum czy akcesoria do telefonów komórkowych. Poznałem tam wielu świetnych ludzi, na przykład Panią Profesor z uczelni w białoruskim Mińsku, która sprzedając na tzw. koronie Stadionu Dziesięciolecia w Warszawie okulary, dorabiała do pensyjki białoruskiego wykładowcy.

Nie zapomnę również, jak kiedyś na „koronie" Stadionu, gdzie sprzedawałem klej, ktoś poprosił mnie, żebym mu przykleił kawałek papieru ściernego do końcówki długiej pęsety. Sklejałem tam wszystkim wszystko, dlaczego miałbym odmówić? A po tej operacji ktoś szepnął: – Ty wiesz, co zrobiłeś? On tą pęsetą wyciąga ludziom portfele.

Tak, poznałem też złych ludzi, jak wtedy, kiedy przegoniłem kieszonkowca spod mojego stoiska na błoniach Stadionu. Wrócił z kolegami i wielkim nożem. Więcej tam nie sprzedawałem. Widziałem wielonarodowe mafie, biedę i nieuczciwość policjantów. Nigdy tego nie zapomnę.

I teraz miałbym zostać odznaczony? Ja? Bodaj najbardziej cieszy się mój Średni Syn, który zdążył się już pochwalić wszystkim kolegom. Na uroczystość mogę zabrać jedną osobę. Zabiorę właśnie Jego. Bardzo mu na tym zależy. A mnie, nie ukrywam, z całego tego zamieszania chyba to właśnie najbardziej wzrusza.

I tylko ciągle nie wiem, czym sobie właściwie zasłużyłem. No ale zapewne na miejscu się dowiem.

eprasa.pl d85bf63bee

Świat wokół nas

Naukowcy przyspieszyli KONIEC ŚWIATA

Rys. Adobe Stock

epraesa.pl d85bf63bee

Choć praca trzech naukowców – astrofizyka, fizyka kwantowego i matematyka – okazała się rewolucją w nauce o Wszechświecie, bo niewyobrażalnie **skróciła czas**, jaki czeka nas do końca świata, na razie nie musimy się martwić. Czasu jest więcej niż sporo. Z pewnością zdążymy uporządkować nasze sprawy. Co więcej – zanim wszystko zniknie, ludzkości może już wcale nie być.

Paweł Pietkun

Z wiekiem Wszechświata naukowcy zawsze mieli problem. Dzisiaj wiemy, że nasza rzeczywistość ma mniej więcej 13,8 mld lat. Jeszcze większym problemem było dla astronomów i fizyków określenie, kiedy i jak nasz Wszechświat się skończy. Prosta ekstrapolacja rozszerzania się kosmosu prowadziła do kuriozalnych wniosków, dzięki którym odkryto – również obserwacyjnie, choć pośrednio (o czym za chwilę) – niewidoczną ciemną materię i ciemną energię, ale pozwoliła określić datę śmierci Wszechświata na 10 do 1100 potęgi lat, licząc od dzisiaj. Jednak ostatnie badania pokazują, że otaczający nas kosmos umrze znacznie, znacznie szybciej. Za 10 z siedemdziesięcioma ośmioma zerami lat. To miliardy bilionów bilionów lat szybciej niż do niedawna myśleliśmy.

Gwałtowne początki

Historia kosmosu od zawsze wiązała się z koniecznością nie byle jakiej gimnastyki umysłowej. Nie tylko dlatego, że w rozmowach o Wszechświecie pojawiają się iście astronomiczne liczby, ale również dlatego, że mówimy o powiększającej się przestrzeni przyrastającej – przynajmniej na początku Wszechświata – z prędkością większą niż prędkość światła. Stąd wciąż nie jesteśmy w stanie zobaczyć najstarszych obiektów – gwiazd i kwazarów – które powstawały na początku stworzenia. Po prostu ich światło jeszcze do nas nie dotarło, stąd zresztą w astronomii tzw. głębokiego nieba pojawia się pojęcie „granicy obserwowalnego Wszechświata".

Rozszerzanie się kosmosu odkrył amerykański astronom Edwin Hubble, który w trzeciej dekadzie XX wieku zaobserwował zjawisko przesunięcia światła odległych galaktyk w stronę czerwieni. Publikacja jego prac naukowych i obserwacji stała się dla kosmologii rewolucją porównywaną dzisiaj do kopernikańskiej. Przede wszystkim pokazała, że kosmos nie jest statyczny – rozszerza się, a więc miał swój początek w nieskończenie małej osobliwości, która zaczęła dynamicznie się rozszerzać, co dzisiaj określane jest mianem Wielkiego Wybuchu. Po drugie – pozwoliło to na przewidywanie, w jaki sposób uniwersum może się skończyć – pod warunkiem określenia ostatecznej masy całej materii obecnej w kosmosie. Gdyby było jej za mało, to świat czekałaby tzw. cieplna śmierć, czyli wypalenie się wszystkich gwiazd i galaktyk oraz powolne wystygnięcie wszystkiego. Przy większej ilości materii koniec mógłby jednak wyglądać zupełnie inaczej. Władzę nad energią powodującą rozszerzanie się kosmosu przejęłaby grawitacja, z czasem ściągając całą materię z powrotem. Wszechświat zacząłby się kurczyć, zgniatając wszystko pod niewyobrażalnym ciśnieniem i ściągając całą materię do maleńkiego punktu osobliwości, która – wszystko na to wskazuje – w kolejnym Wielkim Wybuchu spowodowałaby powstanie nowego uniwersum, być może z innymi niż znamy prawami fizyki.

PROSTA EKSTRAPOLACJA PROWADZIŁA DO KURIOZALNYCH WNIOSKÓW, DZIĘKI KTÓRYM ODKRYTO – RÓWNIEŻ OBSERWACYJNIE – NIEWIDOCZNĄ CIEMNĄ MATERIĘ I CIEMNĄ ENERGIĘ.

Astronomiczne liczby

Taki scenariusz w czasach Edwina Hubble'a (na którego cześć nazwano pierwszy kosmiczny teleskop wysłany na orbitę ponad trzy dekady temu) wydawał się zupełnie niemożliwy. Jednak niedługo później, dzięki pracom Alberta Einsteina, twórcy ogólnej

i szczególnej teorii względności, udało się wykryć tzw. ciemną materię, której nie widać, ale ze względu na swoją masę zakrzywia znajdującą się za nią czasoprzestrzeń, tworząc tzw. soczewki grawitacyjne, dzisiaj z powodzeniem wykorzystywane do odkrywania najstarszych obiektów we Wszechświecie. Jeżeli ciemnej materii jest wystarczająco dużo, kosmos lada moment (oczywiście w astronomicznej skali czasu) może zacząć się kurczyć. Naukowcy policzyli nawet, kiedy nastąpi koniec znanego świata – bez względu na scenariusz, jaki nas czeka. Miałby on nastąpić za 10 do 1100 potęgi (10 z 1100 zerami) lat, co jest liczbą na tyle ogromną, że w żadnym języku świata nie powstało słowo określające taką wartość.

Jednak niedawne badania z obszaru matematyki, teorii kwantowej i astrofizyki, oparte na potwierdzonej teorii innego wielkiego fizyka, Brytyjczyka Stephena Hawkinga, który odkrył „parowanie" czarnych dziur, pokazało, że koniec znanego nam uniwersum może być znacznie bliższy, niż dotychczas myśleliśmy.

Okazuje się bowiem, że promieniowanie Hawkinga, przypisywane dotychczas wyłącznie czarnym dziurom, dotyczy również innych obiektów we Wszechświecie. Badania przeprowadzone przez Heino Falckego, specjalistę od czarnych dziur, matematyka Waltera van Suijlekoma i fizyka kwantowego Michaela Wondraka pokazały, że jeżeli inne obiekty w kosmosie odparowują dzięki promieniowaniu Hawkinga, koniec Wszechświata może nadejść zaskakująco szybko i w nieoczekiwany sposób – po prostu wszystko... „wyparuje", pozbawiając Wszechświat całej masy. W takim wypadku wiek kosmosu nie przekroczy 10 do 78 potęgi lat. A 10 z 78 zerami jest już liczbą, którą potrafimy nazwać – to trydecyliard lat.

Człowiek też odparowuje, tylko, powoli

Dzięki zaktualizowanym obliczeniom i szerszemu zakresowi badań świat nauki jest pewny, że przez promieniowanie podobne do promieniowania Hawkinga wszystko może ostatecznie zaniknąć, cząstka po cząstce.

Prędkość wypromieniowania masy jest oczywiście wypadkową masy ciała kosmicznego, jednak nie ominie również tak małych ciał, jak np. Ziemi, Księżyca czy nawet... człowieka. A ponieważ jest to promieniowanie, w przypadku człowieka – czy jakiejkolwiek istoty posiadającej świadomość – proces odbyłby się w taki sposób, że „wyparowujący" nie miałby szans tego zauważyć. Ta nieświadomość umierania może być uspokajająca – jednak również w tym przypadku naszym sojusznikiem wydaje się czas. Przeciętny człowiek na nieświadome (lub świadome, ale niezauważalne) wypromieniowanie swojej masy potrzebuje kwindecyliona lat (to 10 do 90 potęgi). Dużo wcześniej umrzemy, zupełnie zdając sobie z tego sprawę w związku ze starzeniem się, w wypadku czy też z powodu choroby.

Nawet jeżeli – jako ludzkość – nie zniszczymy naszego środowiska, albo nawet całego rodzaju ludzkiego, odparowanie Ziemi czy Księżyca, a nawet całego Układu Słonecznego, wydaje się komfortowo odległe.

Naukowcy w swojej pracy zauważają zresztą, że bez skomplikowanych obliczeń można przewidzieć inne procesy, które doprowadzą do anihilacji naszego lokalnego świata i ludzkości. Wszystko jedno, czy będą to procesy związane z działalnością człowieka, czy zupełnie naturalne, wynikające z natury samego kosmosu.

PROMIENIOWANIE HAWKINGA, PRZYPISYWANE DOTYCHCZAS WYŁĄCZNIE CZARNYM DZIUROM, DOTYCZY RÓWNIEŻ INNYCH OBIEKTÓW WE WSZECHŚWIECIE.

Kolejna trudna teoria

Ostatnie odkrycie ma jednak znaczenie w perspektywie snutych przez niektóre z ośrodków naukowych planów zapisania całej historii ludzkości na dyskach superkomputerów, co pozwoliłoby nam przetrwać w postaci cyfrowej, a nawet być może dać się odtworzyć przez bardziej od nas rozwinięte cywilizacje. Być może jesteśmy już zresztą taką symulacją. To, że możemy być symulacją, jest jak najpoważniej traktowaną hipotezą przez wiele ośrodków naukowych, w tym amerykańską NASA. Sama teoria to filozoficzna i naukowa koncepcja sugerująca, że nasza rzeczywistość, wraz ze wszystkimi świadomymi doświadczeniami, może być tak naprawdę zaawansowaną symulacją komputerową stworzoną przez cywilizację o znacznie wyższym poziomie technologicznym. NASA i jej pracownicy, choć zakładają, że może być ona słuszna, nie prowadzi badań mających na celu udowodnienie, że żyjemy w symulacji ani nie finansuje takich projektów jako swojej głównej misji.

Jeżeli jednak Wszechświat czeka śmierć przez „wypromieniowanie", to taki sam koniec czeka również nośniki, na których symulacja o nazwie „ludzkość" mogłaby się znaleźć.

eprasa.pl d85bf63bee

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Basia: – Dzisiaj znowu dzieci.

Tomek: – Tak, to dzieci, które spotkałem w Domu Samotnej Matki na warszawskiej Białołęce.

– A przecież chciał Pan coś powiedzieć o słynnych ziemniakach posłanki Kingi Gajewskiej.

– Tak, z tym że w moim przypadku to była czekolada.

– To, że słynie Pan z rozdawania potrzebującym jedzenia, to dobrze wiemy. Mandarynki dla napotkanej w parku rodziny, słodycze dla ukraińskich dzieci. Przecież co chwilę Pan się czymś dzieli. Także z nami.

– Ale ja chciałem o tej czekoladzie... Przyniosłem kiedyś czekoladę protestującym przed Ministerstwem Sprawiedliwości. Oni skierowali mnie do Domu Samotnej Matki. – Tam – powiedzieli – czekolada bardziej się przyda.

Pojechałem. Dałem im słodycze, a za tydzień wróciłem z pięcioma czekoladami. W takich miejscach dzieciaki potrzebują takiego wsparcia.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl d85bf63bee

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

„Siarkopol” ZWOLNIŁ PRZEWODNICZĄCEGO „S”

Fot. M. Żegliński

Przewodniczący MOZ NSZZ „Solidarność” w „Siarkopolu” Paweł Dendera został zwolniony z pracy. Pracodawca postanowił rozwiązać z nim umowę o pracę zawartą na czas nieokreślony z zachowaniem trzymiesięcznego okresu wypowiedzenia, który upłynie 30 września br.

W wypowiedzeniu, które otrzymał Paweł Dendera, pracodawca pisze o „utracie zaufania” do związkowca i zarzuca mu rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji godzących w dobre imię pracodawcy, a także „naruszenie obowiązku dbałości o dobro zakładu pracy”.

„W rozesłanej do Pracowników za pośrednictwem aplikacji WhatsApp wiadomości wskazał Pan, że «wszystko na to wskazuje, że w spółce mają miejsce niedopuszczalne i zabronione prawem zachowania i praktyki. Podobno ma miejsce nie tylko już publiczne zastraszanie, ale również indywidualne grożenie, szantażowanie, nękanie i przemoc psychiczna. Dowody w tej sprawie są gromadzone i zostaną przekazane odpowiednim służbom». Zachowanie to jest przy tym szczególnie naganne – bezpodstawnie zarzucając Pracodawcy niedozwolone zachowania wykorzystał Pan zaufanie pracowników do Organizacji Związkowej” – napisano w uzasadnieniu.

Firma zarzuciła też związkowcowi, że zawiadomił organy powołane do ścigania o rzekomym dopuszczeniu się przez „Siarkopol” przestępstwa polegającego na poświadczeniu nieprawdy w dokumentach płacowych i możliwym naruszeniu przepisów podatkowych i ubezpieczeniowych, „wiedząc, że przestępstwa nie popełniono”, a skan zawiadomienia rozesłał do pracowników.

W tym samym dniu, kiedy Paweł Dendera otrzymał wypowiedzenie z pracy, szef grzybowskiego „Siarkopolu” Mirosław Michalski złożył rezygnację z funkcji prezesa spółki.

Pracodawca postanowił także udzielić związkowcowi urlopu wypoczynkowego w wymiarze 17 dni, i jeśli wykorzysta go w pełnym wymiarze czasowym, zwolnić go na czas pozostałego okresu wypowiedzenia z obowiązku świadczenia pracy z zachowaniem prawa do wynagrodzenia.

Warto wspomnieć, że w ubiegłym roku w grzybowskim „Siarkopolu” ogłoszono zwolnienia grupowe, które miały objąć 196 z ok. 700 pracowników spółki. Ostatecznie z pracy zwolniono około 30 osób. Przeciwko redukcji zatrudnienia występował NSZZ „Solidarność”, który zorganizował dwa protesty przed zakładem pracy. Pierwszy w grudniu 2024 roku, a kolejny w lutym bieżącego roku.

Związkowcy z Solidarności domagali się także ujęcia w wieloletnim planie inwestycyjnym Grupy Azoty nowego pola górniczego w Rudnikach.

eprasa.pl d85bf63bee

Fot. M. Żegliński

„Dziękuję za zaufanie, które okazała mi Solidarność w drodze do prezydentury. Bijemy się o Polskę równych szans, a ideały Solidarności będą naszym drogowskazem".

Karol Nawrocki, prezes IPN i nowy prezydent RP, portal X, 2 czerwca br.

PROTEST MUZEALNIKÓW

Na początku ubiegłego tygodnia, 2 czerwca, przed siedzibą Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego odbyła się pikieta muzealników. Ewa Frąckowiak z Rady Krajowej Sekcji Muzeów i Instytucji Ochrony Zabytków NSZZ „S" powiedziała, że celem zgromadzenia jest nadanie rozgłosu poprawkom „S" do ustawy o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej. Związkowcy domagali się także 20-procentowych podwyżek i zwiększenia dotacji na rozwój muzeów i instytucji kultury.

Zdaniem Solidarności obecny system finansowania sektora kultury wymaga także ujednolicenia i upublicznienia systemu wynagradzania oraz przeciwdziałania dysproporcjom pomiędzy jednostkami centralnymi a lokalnymi.

Zdaniem związkowców z Solidarności, którzy przygotowali raport płacowy za lata 2022–2023, pracownicy instytucji kultury zarabiają zbyt mało. W dokumencie wskazali na różnice płacowe wśród pracowników merytorycznych i technicznych, którzy niekiedy otrzymują pensję zbliżoną do płacy minimalnej, pomimo że posiadają wysokie kwalifikacje.

Zwrócili też uwagę na trend spadku zatrudnienia, który dotyka głównie mniejszych instytucji kultury nieposiadających wystarczających środków finansowych. W trakcie pikiety raport „S" został przekazany resortowi kultury.

TAK DLA RELIGII W SZKOŁACH

Stowarzyszenie Katechetów Świeckich zbiera podpisy pod projektem ustawy, który zakłada obowiązkowy wybór pomiędzy lekcjami religii lub etyki w szkołach. Poparcie dla inicjatywy wyraziła Rada Krajowej Sekcji Oświaty i Wychowania NSZZ „Solidarność".

Projekt „Tak dla lekcji religii i etyki w szkole" został przygotowany dla Stowarzyszenia Katechetów Świeckich przez Instytut Ordo Iuris. Zmienia on ustawę o systemie oświaty oraz ustawę Prawo oświatowe w taki sposób, żeby uczniowie mieli obowiązek uczestniczenia w dwóch godzinach lekcji religii bądź etyki w szkole.

Udział uczniów w jednej godzinie religii lub etyki tygodniowo byłby możliwy po wyrażeniu zgody diecezjalnego biskupa lub władz innych wspólnot wyznaniowych.

Katecheci chcą również, żeby ocena z religii oraz etyki była wliczana do średniej, była umieszczana na świadectwie szkolnym i wpływała na promocję do następnej klasy.

O wsparcie obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej zaapelowała oświatowa Solidarność. Związkowcy stwierdzili, że projekt ma na celu „zagwarantowanie rzeczywistego prawa rodziców i uczniów do wychowania w duchu wyznawanych wartości oraz przeciwdziałanie próbom marginalizacji lekcji religii i etyki w systemie edukacji publicznej".

LEGNICKI MARSZ PAPIESKI

Blisko 400 osób wzięło udział w Marszu Papieskim, który 2 czerwca przeszedł po raz pierwszy ulicami Legnicy. Tego dnia w 1997 roku św. Jan Paweł II odprawił Mszę Świętą na terenie legnickiego lotniska dla ponad 400 tysięcy wiernych, ukoronował cudowny obraz Matki Bożej Łaskawej z Krzeszowa, poświęcił 57 kamieni węgielnych pod budowę nowych kościołów, przejechał ulicami Legnicy i nawiedził tamtejszą katedrę. Te wydarzenia pozostały w pamięci legniczan, którzy najpierw modlili się w sanktuarium św. Jacka, a potem przeszli pod pomnik Wielkiego Polaka, gdzie delegacje, w tym przewodniczący Regionu Zagłębia Miedziowego NSZZ „S", złożyły kwiaty. Marsz zakończył się koncertem i błogosławieństwem biskupa legnickiego Andrzeja Siemieniewskiego.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

13.06.1982 – we Wrocławiu ukazuje się pierwszy numer pisma „Solidarność Walcząca", tytuł wkrótce stanie się nazwą nowej organizacji;

14.06.1985 – działacze opozycji antykomunistycznej: Władysław Frasyniuk, Bogdan Lis i Adam Michnik zostają skazani za swą działalność na kary od 2,5 do 3,5 roku pozbawienia wolności.

eprasa.pl d85bf63bee

Stawiamy na profesjonalizm

Fot. arch.

– Mamy elektroniczny system komunikacji z każdą organizacją związkową, ponad 2,5 tysiąca liderów związkowych i 5 radców prawnych, którzy są w stanie wygrać każdą sprawę przed sądem. Nasz region jest w czołówce, jeśli chodzi o rozwój Związku w Polsce – mówi **Marek Wątorski**, przewodniczący Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność", w rozmowie z **Marcinem Krzeszowcem**.

– Panie Przewodniczący, lubelska Solidarność zrzesza ponad 20 tys. członków – z perspektywy ostatnich akcji protestacyjnych i corocznych imprez sportowych widać, że to bardzo zaangażowani ludzie. W jakim kierunku chce Pan poprowadzić Region Środkowo-Wschodni?

– Po pierwsze – musimy zadbać o dobre miejsca pracy, bo Lubelszczyzna jako jeden z regionów Polski Wschodniej bardzo cierpi z powodu ich braku. Poziom bezrobocia przekracza tutaj 7 procent. Dlatego moim priorytetem będzie to, aby przy współpracy z samorządami ściągać inwestorów do naszego regionu. Po drugie – musimy bronić praw pracowniczych i związkowych. Szczególnie patologiczne zjawiska dostrzegamy w sferze publicznej, gdzie niestety dyskryminacja i mo-

eprasa.pl d85bf63bee

bbing są częstsze niż w sektorze prywatnym. W strukturze regionu funkcjonuje dział rozwoju Związku, zatrudniamy 3 organizatorów związkowych. Ich praca przynosi efekty.

Jesteśmy w czołówce, jeśli chodzi o rozwój Związku w Polsce. Od 2019 roku posiadamy elektroniczny system komunikacji z każdą organizacją związkową w regionie, dzięki czemu monitorujemy na bieżąco stan członków Związku.

Bardzo mocno stawiamy na profesjonalizm w obsłudze naszych członków. Mamy pięciu radców prawnych z olbrzymim doświadczeniem, którzy są w stanie wygrać każdą sprawę przed sądem, jeśli pracodawca popełni jakiś błąd. Mamy na tej płaszczyźnie dużo sukcesów, ale to nie tylko sala sądowa – udzielamy pomocy prawnej, pomagamy w negocjacjach regulaminów pracy i wynagradzania w zakładach pracy.

Ostatni element, o którym chcę wspomnieć, to profesjonalni liderzy związkowi. Mamy ich ponad 2,5 tysiąca i dajemy im pełną paletę szkoleń. Dla mnie i dla całego prezydium zarządu regionu to bardzo ważne, żeby tworzyć nowe kadry związkowe, które płynnie i ewolucyjnie będą obejmować stanowiska dla dobra Solidarności w regionie.

– Na pewno delegaci docenili również Pańskie zaangażowanie w promowanie „S", gdy był Pan zastępcą Mariana Króla. Współorganizował Pan wiele imprez, które poprzez sport przypominały historię Solidarności.

– W 2010 roku przewodniczący Marian Król zaproponował mi, abym objął funkcję prezesa Fundacji Ruchu Solidarności Rodzin, a w następnym roku także dyrektora Biegu Solidarności. To jest dobre pole do efektywnej promocji NSZZ „Solidarność". Kilka lat później, w 2016 roku, postanowiłem przemodelować Bieg Solidarności i wzmocnić jego rangę poprzez dołożenie dwóch kolejnych biegów. Od tego czasu mamy już Lubelską Biegową Triadę Pamięci, w którą włączył się Samorząd Województwa Lubelskiego wraz z marszałkiem województwa i prezydentem Lublina. Są to trzy imprezy: Bieg Solidarności „Lubelski Lipiec 1980", Mila Pamięci Ofiar Komunizmu (chyba jedyny taki bieg na świecie) i oczywiście Lubelski Bieg Niepodległości, bo Lublin nie miał do tej pory z jakichś powodów takiego biegu. Dzięki temu pięknie promujemy Solidarność, a także historię naszego regionu. Każde dziecko otrzymuje koszulkę i medal z logo „S" i wraca z nim do domu, bo czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci.

– Ta współpraca Solidarności z samorządem nie jest dzisiaj czymś oczywistym, gdy polityka coraz częściej dzieli, zamiast łączyć.

– Lubelska Solidarność przez lata udowodniła, że z każdym partnerem niezależnie od opcji politycznej jest w stanie rozmawiać. Jednym warunkiem jest obopólne zaufanie i działanie na rzecz mieszkańców Lubelszczyzny. Przykładem dobrej współpracy jest działalność w Wojewódzkiej Radzie Dialogu Społecznego, promocja zdrowia i wspólne obchody ważnych wydarzeń, w tym np. rocznic tragedii smoleńskiej. Nieprzerwanie w Lublinie od 2011 roku, 10 kwietnia, władze państwowe, samorząd i Solidarność oddają cześć ofiarom katastrofy smoleńskiej. Nie ma żadnych zamieszek czy utrudniania tych uroczystości. W asyście wojskowej zapalamy 96 biało-czerwonych lampek i stajemy do Apelu Pamięci. Lublin potrafi godnie uczcić ofiary katastrofy smoleńskiej.

– Wspomniał Pan wcześniej o trudnej sytuacji na rynku pracy. W rankingu bezrobocia województwo lubelskie jest na 13. miejscu w kraju. Czy w ostatnim czasie dotknęły Wasz region znaczące zwolnienia grupowe?

– U nas największy odsetek stanowią bezrobotni długotrwali. Krótko mówiąc, są to osoby, które „nauczyły się" już być bezrobotnymi. Jeśli chodzi o zwolnienia grupowe, to niestety mamy na Lubelszczyźnie kilka takich przypadków, począwszy od załamania rynku meblarskiego, czego efektem są zwolnienia w Black Red White. Kolejny zakład, w którym trwają zwolnienia grupowe, to filar Kraśnika, a więc Fabryka Łożysk Tocznych. Redukcja zatrudnienia

LUBELSKA SOLIDARNOŚĆ PRZEZ LATA UDOWODNIŁA, ŻE Z KAŻDYM PARTNEREM, NIEZALEŻNIE OD OPCJI POLITYCZNEJ, JEST W STANIE ROZMAWIAĆ.

eprasa.pl d85bf63bee

dotyka PKP Cargo czy też naszą perełkę chemiczną, czyli Zakłady Azotowe „Puławy”.
Tracimy też miejsca pracy w Poczcie Polskiej w związku ze zmianami strukturalnymi na wschodzie Polski. Co więcej, Lubelszczyzna cierpi też na niż demograficzny – mamy więcej zgonów niż urodzeń. Niedawno dostaliśmy informacje od naszej organizacji zakładowej, że pojawiają się wolne miejsca w żłobkach. Jeśli będą wygaszane miejsca w żłobkach, to za chwilę pójdą za tym przedszkola i szkoły. Oczywiście w niektórych segmentach pojawiają się nowe biznesy. Ostatnio otworzyła się u nas fabryka wodorowych autobusów Arthur Bus – tam jeszcze „S” nie mamy.

– Wymienił Pan kilka firm, które są wizytówką Lubelszczyzny. Do tego grona należy z pewnością zaliczyć Kopalnię Bogdanka, której pracownicy 8 kwietnia protestowali w Lublinie. Górnicy obawiają się przyspieszonej likwidacji zakładu.

– Jeszcze 2–3 lata temu nasza organizacja związkowa była uspokajana, że ostatnie drzwi w górnictwie węglowym zostaną zamknięte w Bogdance. Mam nadzieję, że ta krytyka Zielonego Ładu przyniesie efekty, bo to jest w pewnym stopniu lobbing niemiecki. My jako Polska musimy budować bezpieczeństwo energetyczne na węglu z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że do atomu nam jeszcze daleko, a po drugie dlatego, że wyprodukowanie energii z atomu jest zdecydowanie droższe niż z węgla. Bezpieczeństwo energetyczne Polski jest zbudowane na węglu. Przez następne dziesięciolecia my od węgla odejść nie możemy.

– W Lublinie swoją siedzibę ma sieć sklepów Stokrotka, której pracownicy zrzeszeni w Solidarności ostatnio mocno protestują. Słowo „ostatnio” nie jest może najlepsze, bo spór zbiorowy trwa od 2022 roku. Pikiety pod sklepami dają jakieś efekty?

– W Stokrotce mamy bardzo zdeterminowaną przewodniczącą Alicję Symbor, która jak potężna lokomotywa ciągnie nasz Związek. Problem stanowi rozsiana sieć sklepów, duża rotacja pracowników, a także model franczyzowy, w oparciu o który działa część sklepów.

Ponadto wiele osób pracuje w Stokrotce, bo po prostu nie ma wyjścia. Dopóki będą chętni do pracy, dopóty ciężko będzie nam zakończyć spór zbiorowy. On trwa od strony prawnej, pracodawca musi z nami rozmawiać, a Związek jest ostrzelany prawnie przez sztab prawników.

My skupiamy się na nagłośnieniu problemu. Mamy samochód z nagłośnieniem, organizujemy pikiety objazdowe, informujemy media, w jakich warunkach muszą pracować kobiety w Stokrotce. Najbardziej wymowny był happening z dwumetrową paletą ziemniaków, które trzeba było zdjąć, zachowując trzy punkty podparcia. Mamy niestety do czynienia z absurdem, ale związek zawodowy Solidarność robi swoje.

– Parę lat temu bardzo aktywnie zaangażował się Pan również w akcje protestacyjne lubelskich DPS-ów. Potem, gdy Związek negocjował z rządem porozumienie, stanął Pan na czele zespołu roboczego ds. pomocy społecznej. W jakiej kondycji jest dzisiaj Sekcja Pracowników Pomocy Społecznej i czy ministerstwo traktuje związkowców jako partnera do rozmów?

– Udało nam się wraz z liderami związkowymi z DPS-ów zintegrować to środowisko, które miało bardzo poważne problemy. To było bardzo upokarzające, że po 30 latach pracownicy otrzymywali wynagrodzenie na poziomie płacy minimalnej. Praca w domu pomocy społecznej wymaga nieprawdopodobnej empatii. To nie jest szpital, że przychodzi pacjent i po tygodniu wychodzi do domu. Opiekunki i opiekunowie zajmują się seniorami nawet po 20 lat, oni są dla nich jak rodzina.

Te upokarzające warunki spowodowały zryw związkowy. Fala poszła z Lublina do Warszawy, gdzie doszło do spotkania DPS-ów z całej Polski. Efektem tego było krótkotrwałe rozwiązanie w postaci przyznania pracownikom 600 zł dodatku od kwietnia do grudnia, ale umówiliśmy się z rządem Zjednoczonej Prawicy, że wypracujemy zmiany systemowe. Potem odbyły się wybory i zmieniła się władza. Ku naszemu zaskoczeniu, nowy, liberalny rząd pod przewodnictwem Donalda

MUSIMY BUDOWAĆ BEZPIECZEŃSTWO ENERGETYCZNE NA WĘGLU. DO ATOMU NAM JESZCZE DALEKO, POZA TYM WYPRODUKOWANIE ENERGII Z ATOMU JEST DROŻSZE NIŻ Z WĘGLA.

eprasa.pl d85bf63bee

Tuska, wprowadził dodatek 1000 zł dla każdego pracownika pomocy społecznej do 2027 roku. Jesteśmy wdzięczni za ten zastrzyk finansowy, aczkolwiek jak zwykle rząd musiał zamieszać w klimacie społecznym, bo nie wszyscy pracownicy pomocy społecznej ten dodatek dostali. I to tylko dlatego, że zadania, które wykonuje dany pracownik, nie wynikają wprost z ustawy o pomocy społecznej, tylko z innych zadań. W takiej sytuacji chciałbym zaapelować do wszystkich samorządów, aby poszły w ślad Lublina – nasze miasto wypłaca ten dodatek w kwocie 1000 zł wszystkim wykluczonych pracownikom pomocy społecznej.

Ogólnie Krajowa Sekcja Pomocy Społecznej dobrze sobie radzi i jest uczestnikiem trójstronnego dialogu, ale według mojej wiedzy ten dialog z rządem nie jest efektywny. To niepokojące, bo mamy mało czasu – dodatek skończy się już w 2027 roku.

Pomoc społeczna nie była reformowana w naszym kraju od ponad 20 lat. Tymczasem życie się zmieniło i jesteśmy dziś państwem senioralnym. W mojej ocenie fundamentalnym problemem jest to, że nie udało nam się stworzyć ustawy o zawodach pomocowych, oraz to, że nie powiązaliśmy pomocy społecznej z ochroną zdrowia. W jednym i drugim segmencie tak naprawdę nie ma większych różnic, dlatego zarówno warunki pracy, jak i wynagrodzenia personelu powinny być do siebie zbliżone. Mam nadzieję, że uda nam się to osiągnąć.

A jakie Pańskim zdaniem są perspektywy społeczno-gospodarcze dla województwa lubelskiego? Ludzie wiążą swoją przyszłość z tym regionem czy takie kwestie jak rynek pracy i niepokój związany z wojną na Ukrainie skłaniają ich jednak do tego, by zmienić miejsce zamieszkania?

TO BYŁO BARDZO UPOKARZAJĄCE, ŻE PO 30 LATACH PRACOWNICY DPS OTRZYMYWALI WYNAGRODZENIE NA POZIOMIE PŁACY MINIMALNEJ.

– Przede wszystkim musimy generować miejsca pracy i zapraszać inwestorów na Lubelszczyznę. Są jednak takie obszary, gdzie Ministerstwo Zdrowia, NFZ i samorząd powinny bardziej się postarać. Mam na myśli Wojewódzki Szpital Specjalistyczny w Lublinie, który potrzebuje 12 mln zł na uruchomienie kardiochirurgii, albo Centrum Onkologii Ziemi Lubelskiej, gdzie brakuje środków na nowe technologie do walki z rakiem.

Przypomnę, że Lublin jest miastem uniwersyteckim. Jeśli nie zainwestujemy w miejsca pracy, to specjaliści, młodzi, wykształceni absolwenci lubelskich uczelni, w których zainwestowaliśmy, po prostu wyjadą.

Jeśli chodzi o przyszłość regionu, to duże oczekiwania wiążemy z rozwojem infrastruktury, która ciągle daje nieograniczone możliwości. Droga ekspresowa S17 do Warszawy już jest, szybka linia kolejowa S7 jest, zmodernizowano wiele szklaków, działa lotnisko, a w tej chwili ruszyły prace nad drogą ekspresową S19, czyli trasą będącą fragmentem Via Carpatia. To aorta drogowa, która połączy państwa od Litwy aż po Ateny. Dla Lubelszczyzny to wielka nadzieja zatrzymania mieszkańców w regionie. Może nam w tym pomóc Projekt Trójmorza, ma on duże znaczenie dla naszej przyszłości, ale także dla praktycznej budowy polskiego bezpieczeństwa wschodniego. Lublin jest ważnym miejscem dla tego strategicznego projektu, wiążemy z nim naszą gospodarczą i demograficzną przyszłość. W tym projekcie jest także szczególne miejsce dla Solidarności.

LUBLIN JEST MIASTEM UNIWERSYTECKIM. JEŚLI NIE ZAINWESTUJEMY W MIEJSCA PRACY, TO SPECJALIŚCI I WYKSZTAŁCENI ABSOLWENCI, W KTÓRYCH ZAINWESTOWALIŚMY, PO PROSTU WYJADĄ.

eprasa.pl d85bf63bee

PRAWO

Co możesz zrobić, GDY URZĄD MILCZY?

Jakiś czas temu miałem taką sytuację, że złożyłem wniosek o wydanie zaświadczenia w jednym z urzędów. **Minął miesiąc, potem drugi, a tu nic.** Po prostu cisza i zero jakiegokolwiek odzewu: ani telefonu, ani maila z odpowiedzią, ani zwykłego listu. Kiedy udałem się w końcu do urzędu, jeden z pracowników na moje pytanie odpowiedział, że „sprawa jest w toku", ale konkretnych terminów nie podał. Czy tak może być? Czy urząd może po prostu… zamilknąć?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Odpowiadając krótko – nie. Zasada działania organów administracji publicznej zakłada, że każda sprawa powinna być załatwiona bez zbędnej zwłoki, a najczęściej w ciągu miesiąca od jej wszczęcia. Natomiast w sprawach bardziej skomplikowanych termin ten może wydłużyć się do dwóch miesięcy, ale nawet wtedy organ ma obowiązek poinformować o tym stronę postępowania i uzasadnić przyczynę opóźnienia. Wynika to z art. 36 § 1 kpa, według którego w każdym przypadku niezałatwienia sprawy w terminie organ administracji publicznej jest obowiązany zawiadomić strony. Tymczasem w praktyce urzędowej zdarza się, że sprawy ciągną się miesiącami, a obywatel, mimo złożenia kompletu dokumentów czy sprawy bardzo prostej i niewymagającej nadmiernego analizowania, tkwi w stanie zawieszenia.

W prawie administracyjnym takie zachowanie określa się mianem bezczynności organu. Co ważne, obywatel nie jest wobec tej bezczynności bezsilny. Jeżeli termin na załatwienie sprawy minął, a urząd nie wydał decyzji ani nie poinformował o powodach opóźnienia, masz prawo złożyć ponaglenie. Ponaglenie wnosi się do organu wyższego stopnia za pośrednictwem organu prowadzącego postępowanie lub jeżeli nie ma organu wyższego stopnia do organu prowadzącego postępowanie. Ponaglenie powinno zawierać uzasadnienie oraz wskazanie, że sprawa nie została rozpatrzona w ustawowym terminie.

Organ rozpatrujący ponaglenie wydaje postanowienie, w którym wskazuje, czy rzeczywiście dopuszczono się bezczynności lub przewlekłego prowadzenia postępowania. Organ rozpoznający stwierdza również, czy występowało ono z rażącym naruszeniem prawa. Natomiast w przypadku stwierdzenia bezczynności lub przewlekłości zobowiązuje organ rozpatrujący sprawę do załatwienia sprawy, wyznaczając termin do jej załatwienia, jeżeli postępowanie jest niezakończone, a także zarządza wyjaśnienie przyczyn i ustalenie osób winnych bezczynności lub przewlekłości, a w razie potrzeby także podjęcie środków zapobiegających bezczynności lub przewlekłości w przyszłości.

Warto też wspomnieć o instytucji tzw. milczącego załatwienia sprawy. Zgodnie z przepisami, jeżeli urząd w określonym terminie nie wyda decyzji odmownej, a sprawa kwalifikuje się do tzw. milczącego załatwienia, to traktuje się ją jako rozstrzygniętą pozytywnie. Przykładem może być tu np. zgłoszenie budowy. Jeżeli po 21 dniach nie otrzymasz sprzeciwu, możesz rozpocząć inwestycję.

Pamiętaj jednak, że nie każda sprawa może być rozstrzygnięta milcząco, katalog takich przypadków jest ograniczony przepisami szczególnymi. Dlatego warto każdorazowo sprawdzić, czy Twoja sprawa się do nich kwalifikuje.

Podsumowując, pamiętaj że urzędowa cisza nie oznacza bezkarności. Masz prawo żądać działania i reagować na opieszałość administracji. Ponaglenie, skarga do sądu, a czasem nawet milczące załatwienie sprawy, to realne narzędzia obywatela. Bo prawo do rzetelnego i terminowego załatwienia sprawy to nie przywilej, lecz obowiązek państwa.

eprasa.pl d85bf63bee

ZASADY REPREZENTOWANIA PRACOWNIKÓW przez zakładowe organizacje związkowe (cz. 2)

W pierwszej części artykułu przybliżone zostało to, jak szeroko można rozumieć sformułowanie użyte w ustawie o związkach zawodowych, w myśl którego związki zawodowe są powołane do reprezentowania i obrony praw, interesów zawodowych i socjalnych ludzi pracy. Druga część będzie poświęcona wskazaniu regulacji prawnych dotyczących bardzo konkretnego sposobu rozumienia tego zwrotu, czyli występowania struktur związkowych (organizacji zakładowych lub międzyzakładowych) wobec pracodawcy w zakresie praw i interesów zbiorowych.

Dr hab. **Jakub Szmit**, specjalista z zakresu prawa pracy

PODSTAWĄ DO ROZRÓŻNIANIA REPREZENTOWANIA WOBEC PRACODAWCY zatrudnionych w sprawach zbiorowych i indywidualnych jest brzmienie art. 7 ustawy związkowej i powiązanego z nim art. 30 tego aktu.

Z pierwszego z nich wynika, że w sprawach zbiorowych związki zawodowe reprezentują wszystkie osoby, niezależnie od ich przynależności związkowej. Jest to bardzo ważna zasada, która wywołuje istotne konsekwencje. Wynika z niej bowiem, że w sprawach o takim charakterze (czyli takich, które dotyczą całej załogi albo przynajmniej jakiejś jej części, np. określonej grupy zatrudnianych) skutki działań związków zawsze będą się rozciągały na całą załogę (lub ewentualnie jej część).

Warto tu zamieścić dwie uwagi odnoszące się do przyjętego rozwiązania. Pierwsza to wskazanie, że konsekwencją tego mechanizmu jest fakt, że organizacje związkowe nie mogą ograniczać swoich działań w sprawach zbiorowych tylko do swoich członków. Jest to ściśle powiązane z zasadą zakazu dyskryminacji ze względu na przynależność związkową. Oznacza ona bowiem nie tylko zakaz gorszego traktowania członków związków zawodowych od osób niezrzeszonych, ale również odwrotny zakaz, tj. gorszego traktowania osób niezrzeszonych od członków związków. Dlatego w obecnym stanie prawnym nie jest dopuszczalne przewidzenie określonego dodatku pieniężnego tylko dla członków związku, który uzgadnia z pracodawcą regulamin wynagradzania.

W SPRAWACH ZBIOROWYCH ZWIĄZKI ZAWODOWE REPREZENTUJĄ WSZYSTKIE OSOBY, NIEZALEŻNIE OD ICH PRZYNALEŻNOŚCI ZWIĄZKOWEJ. JEST TO BARDZO WAŻNA ZASADA, KTÓRA POWODUJE ISTOTNE KONSEKWENCJE.

Drugą konsekwencją jest to, że owe rozwiązanie dotyczy w jednakowym stopniu wszystkich organizacji związkowych działających u danego pracodawcy. Innymi słowy, każda organizacja związkowa może słusznie wskazać, że w sprawach zbiorowych ma prawo reprezentować całą załogę. Jako praktyczny przykład realizacji powyższego założenia można wskazać fakt, że spór zbiorowy u pracodawcy ma prawo wszcząć każda działająca u niego organizacja związkowa. Co więcej, poszczególne organizacje mogą prowadzić taki spór nawet wówczas, gdy w tym samym czasie w tej samej sprawie pracodawca jest już w sporze zbiorowym z inną organizacją. Kolejnym przykładem może być przepis art. 24125 kp, który mówi o tym, że jeżeli pracowników, dla których ma być zawarty układ zakładowy, reprezentuje więcej niż jedna organizacja związkowa, rokowania w celu zawarcia układu prowadzi ich wspólna reprezentacja lub działające wspólnie poszczególne organizacje związkowe.

Łatwo zauważyć, że w praktyce realizacja zasady dotyczącej reprezentacji w sprawach zbiorowych może rodzić istotne problemy w sytuacji wielości organizacji związkowych u jednego pracodawcy i niemożności wypracowania przez stronę związkową wspólnego stanowiska w danej materii. Sposobem na ograniczenie tego ryzyka jest wprowadzenie przez ustawodawcę konstrukcji reprezentatywności i swoistego uprzywilejowana organizacji liczniejszych.

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl d85bf63bee

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

Nasi autorzy

Magdalena Okraska (Niech cię..., s. 27), publicystka, pisarka i działaczka społeczna związana ze środowiskiem pisma „Nowy Obywatel". Autorka dwóch głośnych książek opisujących Polskę z perspektywy mniejszych miast i miasteczek. Jej „Ziemia jałowa. Opowieść o Zagłębiu" ukazała się w 2018 roku (Wydawnictwo Trzecia Strona), „Nie ma i nie będzie" (Wydawnictwo Ha! art) w roku 2022.

Paweł Pietkun (Związki..., s. 16), dyrektor regionalny w Amerykańskim Instytucie Dyplomacji i Praw Człowieka (U.S. Institute of Diplomacy and Human Rights).

Marek Sobczyk (Okładka, s. 1), jeden z najbardziej cenionych polskich malarzy. Autor „Manifestu Kina Grawitacyjnego" i współtwórca Gruppy, artystycznego kolektywu odwołującego się do nurtu tzw. Nowej Ekspresji.

Konrad Wernicki (Związek_zawodowy..., s. 12), nasz redakcyjny specjalista od marketingu, nowych technologii, mediów społecznościowych i nowych rewirów polskiej pracy. Pisze dla „Tygodnika Solidarność" od 2017 roku.

Jan Wróbel (Dialog..., s. 57), jeden z najbardziej rozpoznawalnych polskich felietonistów. Pisał w takich tytułach jak „Życie", „Dziennik", „Nowe Państwo" czy „Dziennik Gazeta Prawna". Od ponad dekady prowadzi Poranek Radia TOK FM. Publicystykę od wielu lat łączy z zawodem nauczyciela historii w I Społecznym LO w Warszawie (zwanym potocznie „Bednarską").

Igor Zalewski (Już nie Bążur..., s. 24), w „TySolu" gospodarz autorskiej kolumny „Strefa Kontaktu". W przeszłości m.in. współtwórca legendarnej rubryki „Z życia koalicji, z życia opozycji" będącej prekursorką podobnych formatów w wielu polskich mediach. Założyciel Akademii Retoryki Igora Zalewskiego.

PRENUMERATA NA 2025 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) Bezpośrednio u wydawcy „TS" – TYSOL Sp. z o.o., 00-838 Warszawa, ul. Prosta 30, tel. 22 882 27 80, e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com numer konta: Mbank 58 1140 1065 0000 2038 9400 1001. Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **tysol.pl**;

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- II kwartał – 117,00 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 225,00 zł (od nr. 1 do 25)**
- III kwartał – 126,00 zł (14 wydań)
- IV kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 234,00 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 459,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na: www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl d85bf63bee

REPUBLIKA

Dwóch gości – polityków z różnych ugrupowań. Trzy rundy z konkretnymi pytaniami naszych dziennikarzy. Czwarta runda na wzajemne pytania gości. I na koniec runda z pytaniami od Widzów Republiki z #bitwapolityczna. Szybka wymiana zdań. Krótki czas na odpowiedź. To jest bitwa na słowa – innowacyjny format telewizyjny w Polsce.

1410 BITWA POLITYCZNA

CODZIENNIE

14:10

w Republice

Zapraszają
Monika Borkowska i Michał Jelonek

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl d85bf63bee

WYDANIE SPECJALNE

10 lat Trójmorza
Historia i przyszłość Europy Środkowej

DO KUPIENIA NA WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL
I W WYBRANYCH SALONACH PRASOWYCH